

# TYGODNIK ILLUSTROWANY

SZTUKA TURECKA.



CZAROWNIK ŻÓŁWI

S. E. HAMDY-BEY

## CHORY CZŁOWIEK.

Ponieważ Bank Otomański odmówił sułtanowi miliona funtów na poskromienie rewolucyjnego ruchu młodo-turków, ponieważ nadaremne były wysiłki Padyszacha, aby znaleźć i skierować przeciw zbuntowanemu wojskom jakiegokolwiek oddziały wierznych żołnierzy, więc trzydziesty czwarty z dynastii Osmanów ogłosił równocześnie z rządem rewolucyjnym — konstytucję i... za to spotkały go owacye ze strony narodu.

Oto niezmiernie charakterystyczny przebieg wypadków na blizkim Wschodzie, typowe dzieje obłudy despotyzmu, który, nie mogąc użyć siły — represyi, zabójstw, tortur — zmienia się w jednej chwili z wilka w owieczkę, w dobroczyńcę swoich 40-tu milionów poddanych.

Obłuda, okrucieństwo, podboje, przepych i bogactwo sułtanów, przekupstwo wezyrów, muftich, walów etc. z jednej strony, nędza ludów mahometańskich i podbitych chrześcijańskich z drugiej, rewolucye janczarskie, przewroty pałacowe, nieustanne wojny, żelazny miecz podatkowy, religijny, absolutna niedbałość o dobro ujarzmianych siłą, o to, by zyskać ich dla asymilacyi z państwem, by zainteresować ich w potędze państwowej, by stworzyć im chociażby znośne warunki istnienia — taką była historia Turcyi, takie przyczyny które doprowadziły ją do prawie zupełnej utraty samodzielności na zewnątrz, rozstroju na wewnątrz i pozyskały jej nazwę „chorego człowieka“.

A jednak upadek Turcyi i dzisiaj nawet nie jest tak absolutnym, by, pomimo wszystko, wielkie mocarstwa współczesne zupełnie się z nią nie liczyły. Istnienie jej w Europie i Azji opiera się nie tylko na tem, że „dla ogólnej równowagi“ potrzebem jest, iżby Konstantynopol, ten niesłychanie ważny punkt strategiczny, znajdował się w posiadaniu słabego państwa, nie tylko na tem, iżby Suez był drogą morską do Indyi, zawsze dostępną Anglikom. Turcyja na stopie pokojowej posiada 360,000 doskonałych żołnierzy, a najwyższy jej wysiłek wojenny równa się, bądź co bądź, 800.000-ej armii.

Przytem Padyszach jest jednocześnie najwyższym kalifem, władcą duchownym mahometan, których same Indye posiadają około 60 milionów. Za wojną z Turcyą stoi zawsze ewentualna groźba wojny wyznaniowej, a więc zawieruchy wszechświatowej. Stąd więc nad „chorym człowiekiem“ dyplomacya europejska rozciąga niesłychanie tkliwą opiekę, starając się goić jego rany, lub nawet, w ostateczności, wypalać je rozpalonym żelazem, ale nigdy leczenie to nie dążyło do zupełnego uzdrowienia. Leki mocarstwowe w równej mierze podtrzymywały istnienie państwa Osmanów, jak dążyły do spełnienia go: kapitałami, nadzorem, groźbami... Był to rodzaj hipnozy, czy usypiania, czy homeopatycznej kuracyi, obliczonej na wieki — gaśnienia.

Ale dyplomacya europejska zawiodła się, źle zrozumiała istotę słabości Turcyi — słabości, być może, iż nawet powierzchownej. Zapomniała, iż „chorym człowiekiem“ nie jest właściwie organizm, ale jedynie choremi są jego więzy. Te, istotnie, po blisko 800 latach zaciskania się, rwania, sztukowania, rozprzęgły się, sparciły, zgnity od nadmiaru krwi, która w nie wsiąkała. *Chorym był despotyzm turecki, nie lud.* Zdumionym gabinetom wielkich mocarstw stanęły przed oczyma fakty niepodobne do wiary. Lud, uważany za jeden z najdzikszych, najbardziej barbarzyńskich, zdmuchnął z siebie jarzmo z taką łatwością, jakby to nie były bicze, łańcuchy, mury kazamat, strzeżone przez działa i bagnety, lecz trochę ciasne ubranie, zrzucone podczas upału, dla zmiany na kostium swobodniejszy — a co ważniejsza, zdmuchnął je z takim głęboko kulturalnym szacunkiem dla życia ludzkiego, jakiego w tej klasycznej krainie rzezi wcale się nie spodziewano... Zarazem zaś rozwiązały się odrazu różne niebezpieczne „kwestye“, które wielkie mocarstwa wprawiały w ciągłe drżenie: Bułgarzy i Grecy dowiedziawszy się o bezkrawawem zwycięstwie młodoturków, rozpuścili oddziały powstańcze w Macedonii. Konstytucyja, siłą ludu i wojska wprowadzona, pozyskała to od jednego zamachu, nad czem łamali sobie głowy najtężsi politycy wielkiej cywilizowanej Europy, której obłuda zapewniała świat cały, iż niepowodzenie konstytucyji z roku 1876 uniemożliwiałoby podjęcie nowych prób radykalnego uleczenia „chorego człowieka“.

Jeszcze raz więc pokazało się jasno jak na dłoni to, co prawdziwa historia od dawna wykazuje — napróżno — rządcom: że historyi nie tworzą państwa, ani monarchowie, lecz ludy i idee, że rząd, który z ideami żywymi wśród ludu się nie liczy, jest ślepy, skazanym na zagładę, że nie dość jest znać „ustrój państwowy“ danej jednostki politycznej, lecz trzeba znać ludzi, ją zamieszkujących.



Gdyby te elementarne prawdy wżarły się w umysły polityków współczesnych, zrozumieliby nie to, czym jest Turcyja, ale czym są Turcy. Wyjaśniłoby się im, dlaczego państwo, istniejące od r. 1292, pod rządem nie raz krwawym i okrutnym, to znów słabym i niedołącznym, umiało niespodziewanie, pod wpływem hasła dlań świętych, odżywać nagle z uśpienia, odnosić bohaterskie zwycięstwa, dawać dowody olbrzymich poświęceń i odwagi — choćby w ostatniej wojnie turecko-rosyjskiej. Zrozumieliby, że państwo, zamieszkałe przez potomków hord Dżyngis-hana, przez pokolenia karmione krwią, przez lud, z którego kości powstał bądź co bądź Soliman Wielki i wezyrowie Krupuli, nie jest bierną masą, którąby można dowolnie ugniatać w nieostrożnych rękach „dobroczyńców“ europejskich. Może zamiast rozsiewać po świecie brednie o „niewolniczych instynktach“ i apatyczności wschodnich ludów, lepiej byłoby wnikać w ich ducha? Nie byłoby wtedy niespodzianek w rodzaju Cuszmy, ani też nie zastałoby Europy nieprzygotowaną nagle usamodzielnienie 40 milionów ludzi w państwie, zajmującym do 3 milionów kilometrów kwadratowych i położonem w sercu dróg wszechświatowych.

Istotnie, któż zna Turków? Oto w jakich sprzecznościach mówi o ich charakterze jeden z podróżników polskich: „Jak ująć w jednym wyrazie tę mieszaninę dziwną, ten chaos pierwiastków najsprzeczniejszych, ten zlepek potworny tęcz, kwiatów i zatrutych wyziewów kałuży? Barbarzyństwo brutalne, ciemne, tępe — i wyrafinowana wytworność obyczajów i życia; okrucieństwo bezliłośne — i delikatność uczuć nieznaną gdzieindziej; despotyzm bezgraniczny i niewola — a obok tego *patryarchalna równość stanów*; pycha i nietolerancya podniesione do wyżyn myśli przewodniej narodu — i cierpliwość dla przeciwnych zdań, poszanowanie innych przekonań, mogące zawstydzić Zachód cały; przekupstwo, demoralizacyja, zgnilizna ducha — i uczciwość przysłowiowa, szlachetność — i podniosłość zadziwiająca; zmysłowość wyuzdana obok zewnętrznych pozorów przyzwoitości, a nawet pruderyi; zrozumienie i ukochanie natury, współczucie dla wszystkiego, co słabe, zmysł estetyczny bardzo głęboki i wykwinny przy niezatartym od wieków popędzie do zniszczenia wszelkiej obcej kultury i pogardzie dla sztuki i piękna“.

Z tego obrazu wyrzucić trzeba obecnie wiele, jak np. „przekupstwo, zgniliznę ducha“ — i zastosować je jedynie do sfer rządzących. Usunąć-by też warto „pogardę dla sztuki i piękna“ — wobec najpiękniejszych pomników architektury Wschodu. Ponieważ zaś ruch młodo-turecki, zaczęty jeszcze w r. 1859, usuwa despotyzm, nietolerancję i t. d. — stajemy więc teraz wobec ludu, którego znaczenie w historii ludzkości trudno prosto przewidzieć...

Nic dziwnego, że gabinety europejskie stanęły w osłupieniu... J. K.



PRZĄŚNICZKA  
Sztuka turecka.

ADIL-BEY

## KONSTANTYNOPOL.

Najdziwniejsze miasto na świecie. Stolica cudnej architektury Wschodu i—tłumów psów na ulicach. Siedlisko krwawych intryg, inkwizytor- skich okrucieństw, despotyzmu, niewoli i próżnia- czego a raczej próżniaczo-bujnego, przebarwnego życia. Stolica wszystkich narodowości, zmieszanych w jakieś potwornie piękne zbiegowisko. A przy tem wszystkiem jeden z najpiękniejszych widoków, jakie wywołać może fantazyja ludzka, coś ze snów tysiąca i jednej nocy.

Już sam dojazd do tego miasta czarów ol- śniewa, upaja. Dojeżdżając już do Bujuk-Dere, pierwszego z czterestu miast, tworzących łańcuch nieprzerwany aż do samego Stambułu, opanowywa wrażenie piękności, wstrzymującej oddech w piersiach. Miasto piętrzy się w amfiteatr, domy wspinają się jedno na drugie, ogrody wiszą nad płaskimi da- chami, jak palmy, i jak jakieś fantastyczne białe topole wznoszą się nad gęstwą zieleni i płaskich dachów lekkie, strzeliste minarety—a jeszcze wy- żej szerokie zielone polany na stoku góry, oto- czone drzewami—a potem znowu domy, wille, pa- łace, olśniewające białością marmurów, tarasami kąpiące się w morzu, a za nimi sinawo-błękitna dal, a w niej majaczą nowe miasta...

I oto ukazują się po obu brzegach Bosforu, jedno za drugim, te fantastyczne dziwy, które wydierały okrzyki zachwyty z piersi wszystkich poetów świata. Oto Terapia (w starożytności For-

makia) rozrzucona szeroko u stóp pagórka, pełna wspaniałych pałaców, ambasad europejskich, miej- scowość prawie europejska, miejsce wypoczynku eleganckiego świata stolicy. Oto na azyatyckim brzegu Bey-Roz, prześliczne białe miasteczko, da- lej schowane w zieleni gajów olbrzymich Sulta- niah Indżir Kiei, dalej Rumili Hiszar, wspaniały zam- kę Mahometa II, zbudowany w rok przed zdo- byciem Konstantynopola, imponujący cyklopowemi wieżami, dalej—znowu po europejskiej stronie, na- przeciwko Rumili-Hiszaru, Anadali-Hiszar, zamek zbudowany wcześniej jeszcze niż Rumili, również przez Mahometa II, a słynny w historii polskiej pod nazwą „Czarnego zamku”, gdyż w lochach jego trzymano więźniów wojennych.

I wreszcie, minawszy Vani-Kiei, Bebek, Ar- nauł-Kiei, Kuru Czeczme, Czengiel-Kiei i Orta-Kiei, właściwe już przedmieście Konstantynopola, który zresztą w dalszym ciągu jest szeregiem kilkunastu miast odrębnych.

„Opisuj, szaleńcze!” wołał Amicis na widok tego cudu, który rozciąga się nad najwspanialszą z zatok. Tego chaosu piękności rzeczywiście nikt nie opisze. Zieleni, wieżycy, marmury, półksięży- ce, cmentarze, cyprysy — wszystko to wznosi się jak magiczne stopy na górach, spływa jedno w dru- gie, mieni się tysiącami barw, skąpanych w błę- kicie. Drżenie ogarnia widza. Majaczą w nim wspomnienia olbrzymich dziejowych przewrotów,

śnia się po brzegach cuda pałaców — Bejlerbeju Cziragan-Seraju, Dolma-Bagcze, Yildiz-Kiosku...

Ale wszedłszy do miasta, podróżnik jeszcze dziwniejszych, jeszcze bardziej splątanych doznaje wrażeń.

Oto słowa Amicisa: „Z wielkiego świata roz- ległego krajobrazu, z którego widać Azyę, Bosfor i bezbrzeżne niebo, wpada się o kilka kroków w smutną ciemność labiryntu uliczek z domami walącymi się i najeżonymi kamykami, jak łożysko strumienia. Z zieloności świeżej i cieniejszej prze- chodzi się do duszącego pyłu na odkrytem słoń- cu. Z tłumów, pełnych barw i hałasu—do ustroni grobowych, gdzie nigdy głos ludzki się nie odezwał. Z boskiego Wschodu snów naszych — do innego Wschodu posępnego, zgrzybiałego, który przewyż- sza wysiłek najczarniejszej wyobraźni. Po prze- chadzce kilkogodzinnej w głowie się zawraca. Konstantynopol — to Babilon, świat, chaos! Czy piękny?—cudowny! Czy brzydki?—straszny! Czy się podoba? — Upaja! Czyby się chciało tu pozos- tać?—Kto wie...” W końcu ogarnia śmiertelne znużenie... „W krótkiej chwili żyliśmy lat kilka, czujemy, żeśmy się postarzel...”

\* \* \*

Jednym z najpiękniejszych pałaców sułtań- skich jest Dolma-Bagcze. To sen—patrzac na ten istny cud, przeciera się oczy—wałą się w pokorze

przed tą olśniewającą architekturą europejskie budowle, które przychodzą na myśl: surowy, strzelisty gotyk, potężne romańskie zamki. Przypominają się czarodziejskie dziwy Alhambry i Alkazaru. Jest to jakaś rozkoszna, lubieżna, lekka a jak tęgie wino upajająca muzyka form, ornamentów misternych, lśniących jak srebro, a zdawałoby się, że zawieszonych w powietrzu własnym wysiłkiem. To żywe, samoistne twory, a nie budowle, to wizye, nie gmachy. Bo jest to właściwie nie pałac, lecz różaniec marmurowych kiosków, ustawionych do lotu, jakby do ulecenia w niebo, nad samą prawie wodą Bosforu. Jest tam może pomieszanie rozmaitych stylów, ale, tak jak na kościele św. Marka, wszystko łączy się ze sobą jakąś już wprost czarodziejską harmonią sprzeczności.

Urządzenia wewnętrzne tych kiosków, zespolonych ze sobą jedną olbrzymią fasadą, której końca nie można dojrzeć są niemniej wspaniale—pełno tam mozaik, fresków, marmurów...

Pałac Cziragan o wiele mniej pięknie przedstawia się z zewnątrz, choć imponuje olbrzymimi rozmiarami.

Wnętrze jego jednakże z plafonami, spoczywającymi na filarach marmurowych, z bogactwem rzeźb i przepychem w urządzeniu, przechodzi pałac „Dolma-Bagcze”. W pałacu tym przemieszkiwał aż do swej śmierci zdeponowany Murad V.

Ze strony morza można mieć najlepsze pojęcie o wymiarze jego, gdyż front jego, zwrócony ku Bosforowi ma 750 m. długości.

W ostatnim budynku w stronę Ortakeny, zwanym „Ferije-Seraj”, zamordowany został sułtan Abdul Azis, po swojej detronizacji.

Ponad Cziraganem, zaszyty w ogrodach i parkach, wznosi się „Yildiz-Kiosk” (t. j. kiosk gwiazdy), rezydencja obecnie panującego sułtana Abdul Hamida II. Yildiz-Kiosk połączony jest z Cziraganem marmurowym wiaduktem.

W pałacu Yildiz-Kiosk, który jest niewielki, ale urządony z wielkim smakiem i zbytkiem, sułtan przyjmuje swych ministrów, wezyrów i udziela audyencji posłom zagranicznym idąc na ich cześć galowe obiady. W przylegającym parku znajduje się wiele gmachów: harem cesarski pośród rozkosznego kwiatowego ogrodu z cieplarniami dla roślin egzotycznych i ze sztucznie urządzonej sadzawkami; *Chalet-Kiosk* służący zarazem jako teatr nadwodny, nadzwyczaj kokieterijnie urządony; *Mabein-Kiosk*, zbudowany specjalnie na przyjęcie cesarza Wilhelma w r. 1889; i wiele innych.



Yildiz-Kiosk.

Całość stanowi olbrzymi zespół gmachów i ogrodów, otoczonych wysokim murem i pilnie strzeżonych, a więc niedostępnych dla oczu zwykłych śmiertelnych, niegodnych oglądać rezydencji Padyszacha.

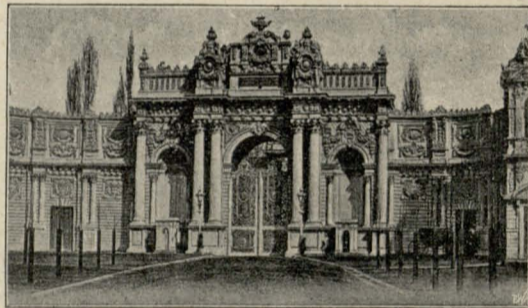
Wiadomo, iż sułtan dzisiejszy spędził swe długoletnie rządy w ciągłej trwodze, do której miał słuszne powody. Stąd też w tym czarującym pałacu gości mnóstwo wojska, policji, szpie-

gów... a ilekroć Abdul Hamid II ukazuje się według niepokonalnego zwyczaju (i tradycji religijnej) ludowi, odbywa się to z tysiącami ostrożnościami.

A mianowicie: obowiązkiem jego jest, jako najwyższego kalifa, odprawiać co piątek, między 12—1 w południe, nabożeństwo „Selamliku”. Modły te trwają ze 20 do 30 minut i są uroczystością narodo-religijną. To też dawniej „Selamlik” ścigał tłumy. Dzisiaj jednak, jak to widzimy na załączonej rycinie, pusto przed meczetem. Niewielu osobom udziela się pozwolenia na przyglądanie się przejeżdżającemu do meczetu wśród gęstych szpalerów wojska sułtanowi

Przytem rzeczą bardzo dla rządów Abdul Hamida II-go charakterystyczną jest, że dla modłów „Selamliku” kazał on w r. 1885 i 86 wystawić specjalny meczet, bardzo blisko od swojej siedziby, bo stojący przed głównym portalem Yildiz-Kiosku i zwany od imienia Padyszacha „Hamidje”. Może więc swobodnie odprawiać „Selamlik”, nie będąc narażonym na dłuższą, niebezpieczną wędrówkę do którego z dalszych meczetów, przytem zaś zasłużył się Prorokowi przez wybudowanie mu świątyni i uświetnił swoje imię na wieczne czasy przez wystawienie pięknego budynku, noszącego jego nazwisko.

Istotnie, „Hamidje”—to meczet piękny i prosty w strukturze. Jest to czworokąt z wysoką kopułą pośrodku i minaretem na południowo-wschodnim rogu. Po obydwu stronach portalu „Hamidje” znajdują się apartamenty Padyszacha. „Hamidje”—jest to więc coś w rodzaju olbrzymiej kaplicy pałacowej, a zarazem



Brama pałacowa w Dolma Bagcze.

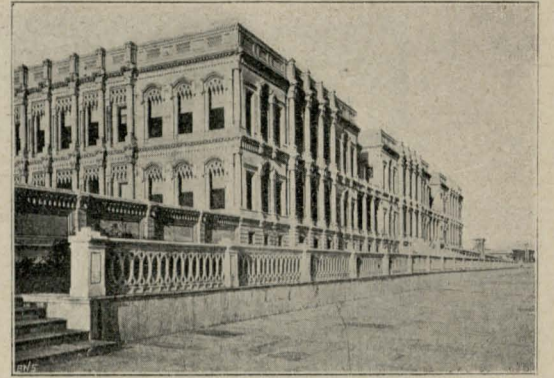
główna świątynia narodowa. I jeszcze o jednym wspaniałym gmachu stolicy sułtańskiej wspomnieć warto.

Na południe od przystani, nad samym brzegiem morskim wznosi się piękny pałac, zwany „Bejlerbej-Seraj”, wspaniały budynek, zbudowany cały z białego marmuru przez sułtana Abdul Azisa (ukończony w r. 1865).

Wnętrze pałacu tego urządzone jest z niesłychanym przepychem w turecko-maurytańskim stylu, jednolicie i z większym jeszcze smakiem, niż w „Dolma-Bagcze. Fasada pałacu tego, wychodząc na Bosfor, odbija się w wodach jego, jak w lustrze.

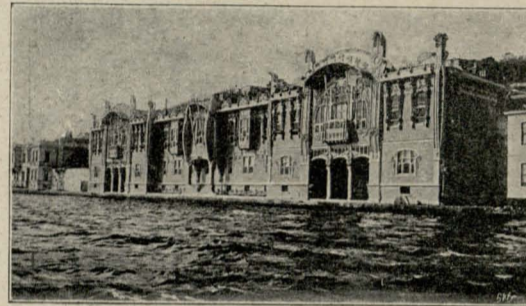
Wielka sala recepcyjna na pierwszym piętrze, jak również schody, są arcydziełami wschodniej sztuki dekoracyjnej.

Na dole obok pałacu znajduje się wielka halla, cała z białego marmuru,



Pałac Cziragan.

wspierająca się na pięknych filarach; w środku sali tryska fontanna.



Pałac drewniany staro-turecki w Kuru-Czesme.

Trudno sobie wymarzyć coś wspanialszego i z większym przepychem urządzonego, niż ten pałac letni.

Tutaj sułtan Abdul Azis zwykł był spędzać zawsze parę miesięcy podczas lata.

W r. 1869 przemieszkała tutaj parę miesięcy cesarzowa Eugenia w czasie swego pobytu w Konstantynopolu, będąc gościem sułtana.

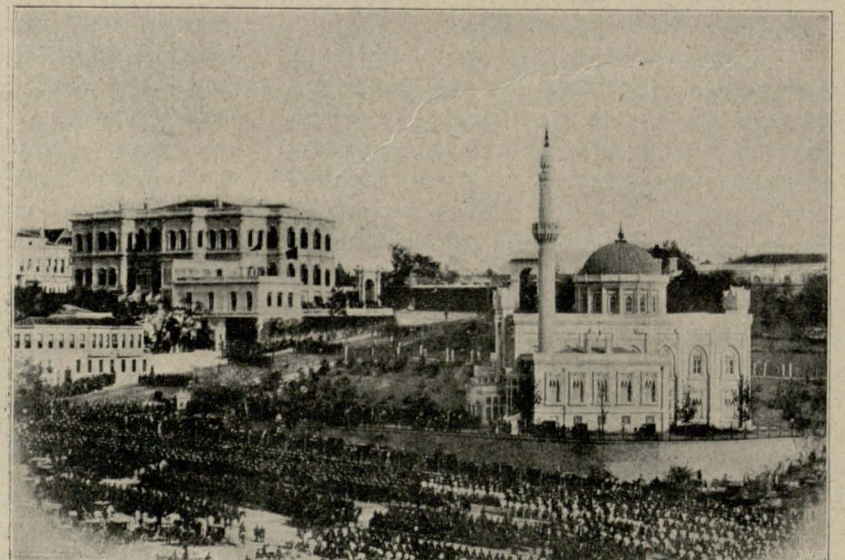
Od czasu śmierci sułtana Abdul Azisa pałac ten został niezamieszany.

Przy pałacu znajduje się wspaniały park, w którym stoją liczne kioski, urządzone z wielkim przepychem.

Oto najsilniejsze czary Stambułu. Nie wspominam tu już ani o meczecie, będącym dawniej słynnym kościołem Ś-tej Zofii, której srebrzystą kopułą, a raczej jej lśnienie widać było ongi ze szczytów Olimpu, ani o innych wspaniałych zabytkach przeszłości bizantyńskiej, ani o grobowcach Zdobywców, ani o tylu innych powszechnie znanych cudach, bo rzeczy te były już stokrotnie opisywane.

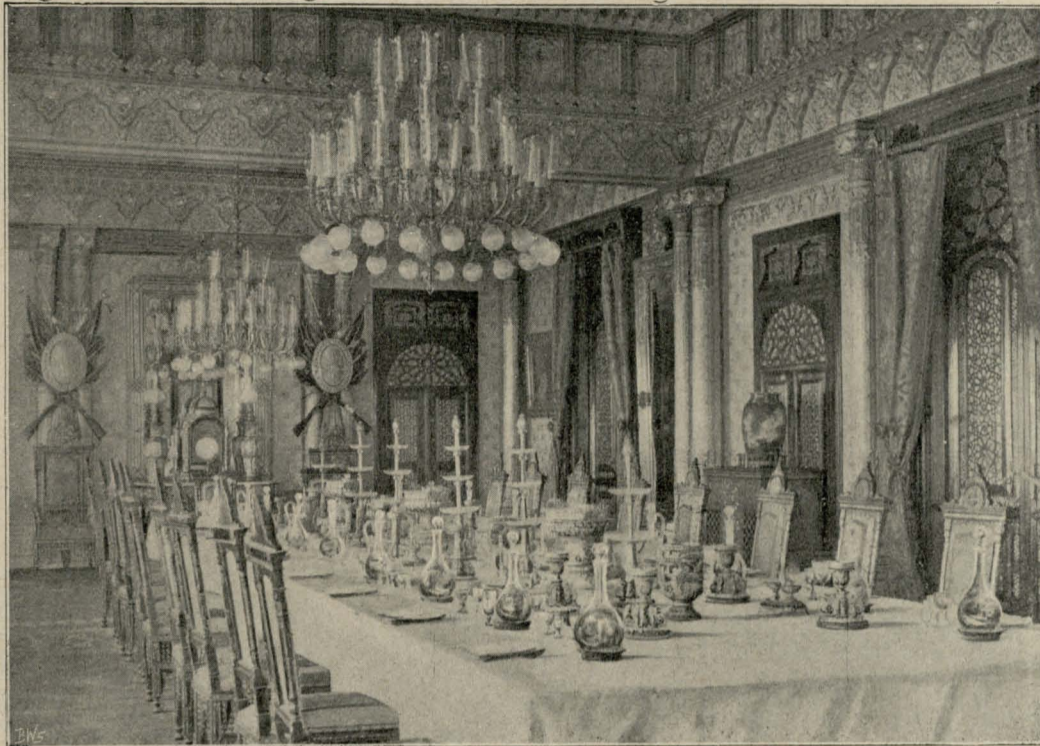
Patrząc na to wszystko i wdychając woń morza pod precudnym szafirem południowego nieba, nabieram jednak teraz dziwnych refleksji: ile burz jeszcze przeciągnie nad Kostantynopolem, i czy prąd rewolucji, zakończonej konstytucją, opromieni to miasto nowym jeszcze urokiem? Czy też może zamieni siedzibę piękna i tyranii w ruinę?

♡



Pałac sułtański Yildiz i meczet Hamidje.

SALA JADALNA

W PAŁACU  
YILDIZ-KIOSK

## SUŁTAN ABDUL HAMID.

W ostatnich czasach kwestya turecka była na porządku dziennym. Mroczna jej mara wzbila się ponad powierzchnię europejskiego życia politycznego z niesłychaną siłą i w jednej chwili zostały obnażone stare rany, z których zerwano kojące plastry, bylejak położone na osłabłe ciało *chorego człowieka*, od którego już za życia jał uderzać charakterystyczny trupi odór. Zwiastunem rychłej katastrofy stała się przedewszystkiem sprawa macedońska. Dla nikogo nie było tajemnicą, że, o ileby tylko sułtan okazał się skłonny do ustępstw, Macedonia stałaby się dla mocarstw europejskich pierwszym etapem na drodze do dalszych okupacji i że zajęcie jej miało posłużyć za ośrodek rozległej akcji politycznej, w której urzeczywistnieniu wzięłyby udział wszystkie państwa europejskie. Nie należy zapominać, że od czasów Kongresu berlińskiego w Turcyi uszeregowal się cały zastęp kwestyi, oczekujących rozwiązania: Albania, Stara Serbia, Macedonia, Azja Mniejsza są to wszystkie ogniska, w których dojrzewały i dojrzwały sprawy niepowszedniej wagi politycznej, grożące rozlaniem się szeroką falą po całej Europie, o ile jeszcze w porę nie pośpieszy z kojącym balsamem dyplomatyczna interwencya.

Wyrczyło ją nagle w ostatnich dniach ogłoszenie konstytucyi w państwie otomańskim, o której jednak napewno jeszcze powiedzieć nie można, czy stanie się owym kojącym balsamem, czy też posłuży jako nabój dynamitowy, mogący wysadzić z posad Wielką Portę i skazać Półksiężyc na banicyę do Azyi.

Owa aktualność spraw tureckich zniewala nas do poświęcenia słów paru sułtanowi Abdulowi Hamidowi, staremu znajomemu europejskiej dyplomacyi, zda się doszczętnie zapomnianemu w ustronnej jego kryjówce na brzegach Bosforu.

Szczególna to rzecz, ale przyznać trzeba, że w obecnej chwili w ręku sułtana spoczywają losy nie tylko samej Turcyi, lecz całej Europy. Aczkolwiek jest to rola nie do pozazdroszczenia, ale niepodobna jej odmówić niepospolitej politycznej wagi. Wogóle osobliwe jest samo stanowisko sułtana. Jest on jednocześnie wielki i mały, potężny i słaby, przejmując strachem i wywołując zarazem współczucie. Budząc grozę w swych poddanych,

dla których niema Allaha poza Allahem i władcy poza Abdulem Hamidem, Padyszach zniewolony jest wieść smutne życie pustelnika, wyzute z wszelkich uciech żywota, rzadko kiedy opuszcza swój pałac, będący dlań istnem więzieniem, i całą siłę swej olbrzymiej woli zużywa wyłącznie na uzyskanie środków, zabezpieczających mu posępne bytowanie. Panuje od lat trzydziestu dwu; kiedy przed siedmiu laty obchodził ćwierćwiekową rocznicę objęcia władzy, rozeszły się niepokojące wieści o stanie jego zdrowia. Na całym obszarze państwa otomańskiego uroczyście święcono ową rocznicę, ale zali to zmniejszyć mogło katusze padyszacha, upadającego pod ciężarem jednostajnej pustki i odosobnienia?

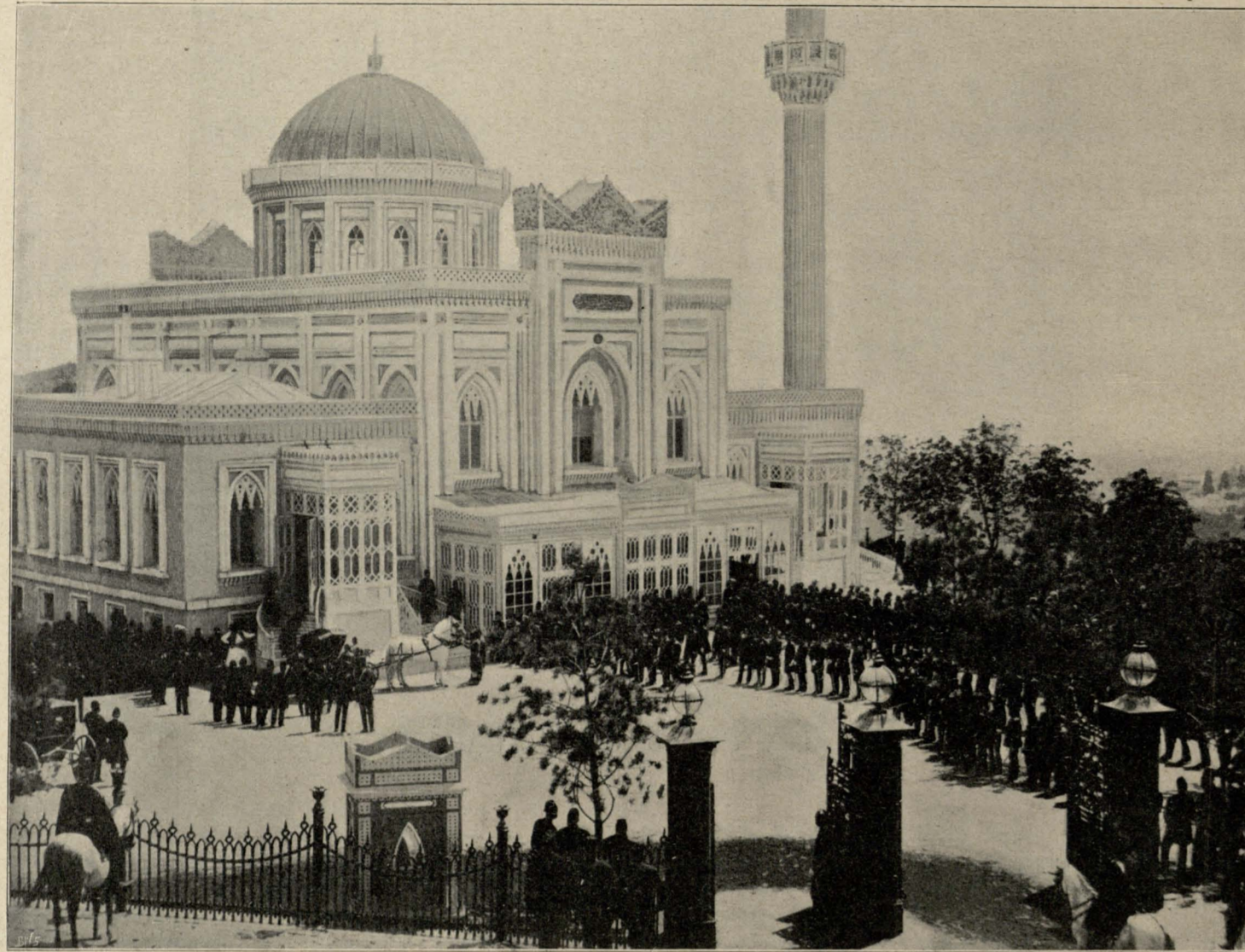
Abdul Hamid urodził się w d. 22 września 1842 roku z ojca sułtana Abdula Medżyda i jego niewolnicy Ormianki, która przyjęła islam. Przed wstąpieniem do haremu sułtana Abdula Medżyda była ona tancerką u jego siostry, sułtanki Esme. Matka Abdula Hamida zmarła w roku 1849 na suchoty, mając zaledwie dwadzieścia sześć lat; choroba ta, jak twierdzi G. Darys w swym szczegółowym życiorysie obecnego sułtana, niewątpliwie odbiła się na organizmie Abdula Hamida, zwłaszcza, że ojciec jego zakończył był życie z powodu suchot. Po śmierci matki wychowanie dziecka, liczącego zaledwie sześć lat, poruczono starej niewolnicy sułtańskiego haremu, a gdy i ta zmarła niebawem, obowiązki wychowawczynie przeszły na czwartą żonę Abdula Medżyda, bezdzietną Peresto-Hanum. Abdul Azis, wstąpiwszy na tron, chciał pojąć za małżonkę wdowę po swym poprzedniku, odznaczającą się niepospolitą urodą; ale ona uchyliła się od tego zaszczytu, poświęcając się wyłącznie wychowaniu Abdula Hamida i jego siostry, sułtanki Dzemile. Peresto-Hanum jeszcze teraz pozostaje przy życiu, piastując tytuł sułtanki-walidy t. j. sułtanki matki.

Dzieciństwo Abdula Hamida upłynęło, podobnie jak i dzieciństwo innych książąt otomańskiego domu—w haremie, wśród niewolników, eunuchów i *lalasów*, t. j. sług-guwnerów. Obecny sułtan był pacholęciem bladym, milczącym, smutnym i nieufnym, unikał towarzystwa swych braci i wogóle wywierał wrażenie młodego mizantropa. Kiedy,

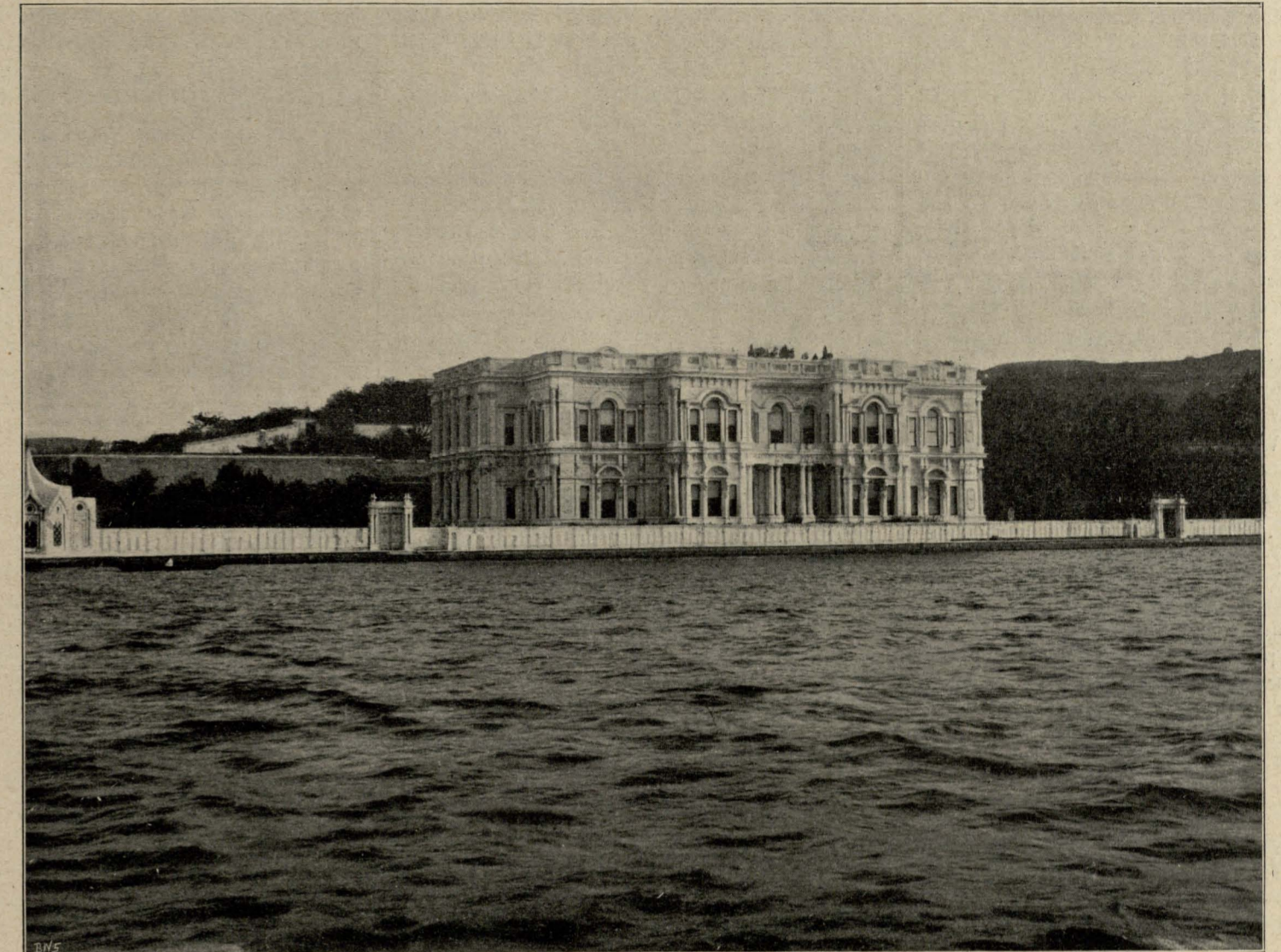
siadłszy w kątku, przyglądał się swym braciom igrającym, w jego wielkich czarnych oczach widniał głęboki smutek. Nie przykładając się osobliwie do nauki, wywoływał tym brakiem pilności ciągle skargi swego wychowawcy, Kemala Paszy, oraz nauczycieli, wśród których był Omer effendi, Szeryf effendi, Edhem pasza i inni. Biegunowe przeciwieństwo pod tym względem stanowił za starszym swym bratem Muradem, i ojciec jego, o ile polegać można na autorze wyżej pomienionego życiorysu, żalił się wielokrotnie na opieszałość młodszego syna. Stronił od swych braci, którzy go również unikali, za wyjątkiem najstarszego Murada; ten, odziedziczywszy po ojcu łagodny charakter, okazywał zawsze młodszemu bratu wielką życzliwość. Nie lubiony przez nikogo i sam również nie poszukując niczyjego towarzystwa, blady i chorowity chłopiec stawał się z każdym dniem coraz bardziej posępnym i skrytym.

Była zresztą jedna istota, do której żywił więcej zaufania. Wyróżnieniem tem cieszyła się sułtanka-walida Abdula Azisa, przezwana Pertewale Kadine, starszka-fanaticzka, zabobonna, ambitna i nienawidząca chrześcijan, w przeciwieństwie do ojca Abdula Hamida oraz brata Murada, którzy wyróżniali się liberalnym nastrojem i radzi otaczali się niepospolitymi ludźmi, choćby nimi nawet chrześcijanie być mieli. Owa kobieta zapoznała swego wychowanka z tajemnicami czarnej magii i astrologii. Niektórzy astrologowie już naówczas przepowiedzieli młodemu księciu, że z czasem zasiądzie na tronie i długo panować będzie; rozpałiło to silnie jego fantazyę, a zarazem i ambicyę. Wkrótce potem Abdul Hamid zbliżył się z czarodziejem-szeikiem, Abdurrahmanem Essinem. Niejaki Nedzyb pasza, znajdujący się na wygnaniu na wyspie Cyprze, spotkał się tam był przypadkowo z owym szeikiem, który mu przepowiedział, że odzyska niebawem wolność i zostanie do łask przywrócony. Kiedy przepowiednia ta spełniła się, wdzięczny Nedzyb uwadze przyszłego sułtana polecił szeika, który też rzeczywiście został wkrótce ulubieńcem Abdula Hamida. Obaj razem zajmowali się wykładaniem Koranu i młody Hamid nieraz zalewał się łzami, słysząc miękkie, wkradający się do serca głos starca-wróźbiarza.

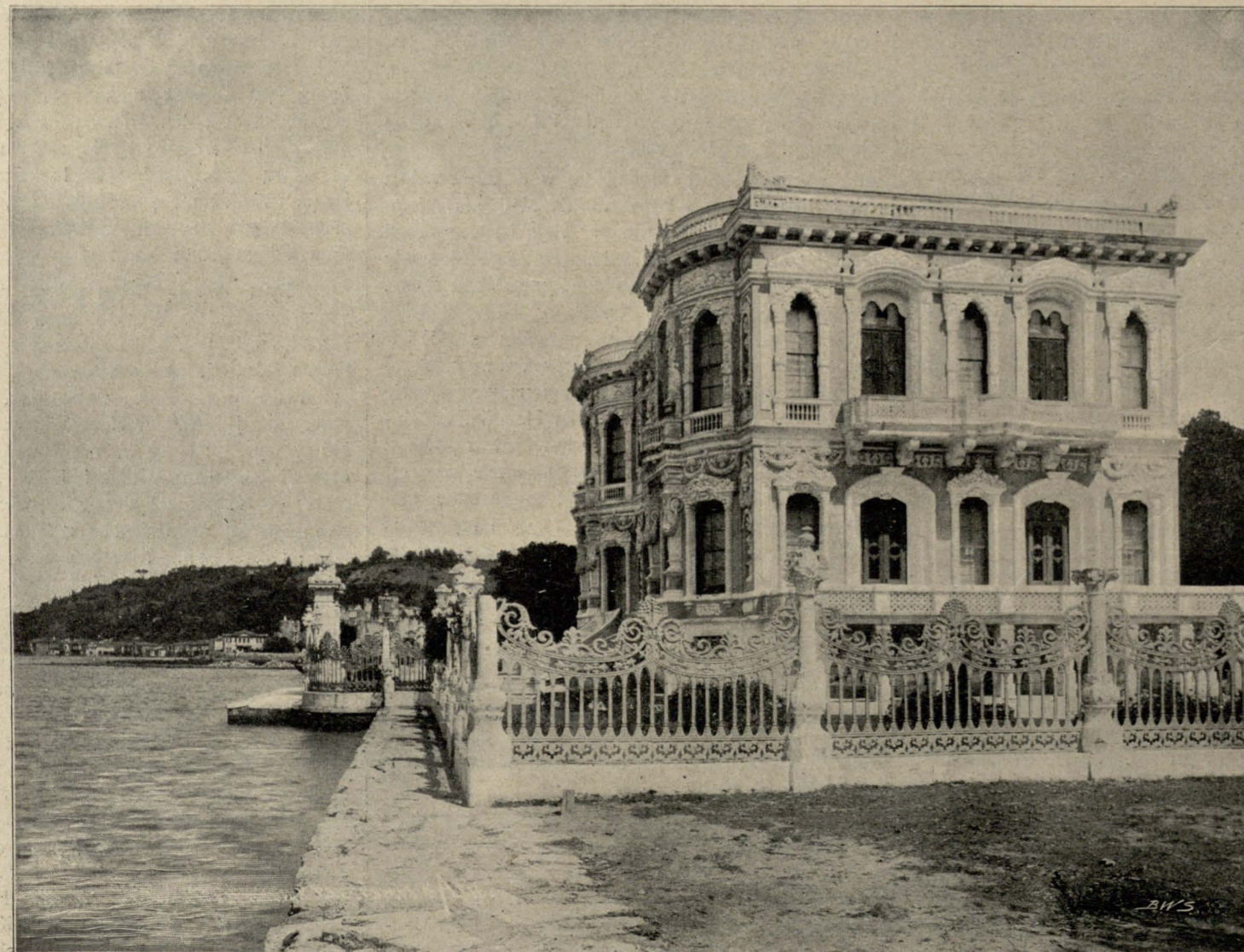
# PAŁACE SUŁTAŃSKIE W KONSTANTYNOPOLU.



MECZET HAMIDIEH PODCZAS „SELAMLIKU”.



PAŁAC W BERLERBEJ, ZBUDOWANY PRZEZ SUŁTANA ABDUL-AZISA NA PRZYJĘCIE CESARZOWEJ EUGENII w r. 1869.



PAŁAC W MIEJSCOWOŚCI ZWANEJ „SŁODKIE WODY” W AZJI.



„STARY SERAJ”. FASADA PAŁACU CZIMLI-KIOSK.

Pewnego razu Abdurrachman Essin zwrócił się doń z następującymi słowami: „O książę! jeżeli się tak spodoba Allahowi, wkrótce zostaniesz sułtanem!“ Abdul Hamid odpowiedział, że sułtan Abdul Azis żyje i cieszy się dobrem zdrowiem, a książę następcą Murad młody jest i również na zdrowiu nie szwankuje. Jednak szejik uparcie przy swoim obstawał. Po dwu latach Murad zajął tron, by ustąpić wkrótce miejsca Abdulowi Hamidowi, który odtąd jeszcze bardziej poddał się wpływowi szejika i rozstał się z nim dopiero wtedy, kiedy ten udał się był do Arabii, dla głoszenia panislamitańskiej wojny krzyżowej.

Abdul Azis, stryj obecnego sułtana, został zrzucony z tronu, w następstwie rewolucji pałacowej w d. 30 maja 1876 roku; sułtanem został po nim jego najstarszy bratanek pod imieniem Murada V. Wywołało to wielką radość w kraju, ponieważ Murad, jak powiedzieliśmy, był przejęty zachodnimi ideami. I rzeczywiście, z chwilą, kiedy wstąpił na tron, rozległa się zapowiedź liberalnych reform. Duszą liberalnego ruchu był minister Midhat pasza, człowiek niepospolitego umysłu i wielkiego serca. On wypracował program reformy, mocą której chrześcijanie w Turcyi zostali zrównani w prawach z mahometanami i dopuszczeni do wszystkich stanowisk oraz godności; *Święte prawa* uległy w części zmianie, miał być

zwołany parlament, została wprowadzona odpowiedzialność ministrów, wchodził w życie nowy zbiór praw cywilnych, oparty na kodeksie Napoleona i t. d.

Projekt przyjęty posłużył następnie za podwalinę dla tureckiej konstytucyi, która jednak, jak wiadomo, została martwą literą.

Niespodziewana przeszkoda stanęła na drodze urzeczywistnieniu zamiarów Midhata paszy. Sułtan Murad zapadł na rozstrój umysłowy. Prześladowania, którym podlegał na skutek podejrzeń Abdula Azisa, mającego bratanek za śmiertelnego wroga, krwawe perypetye, poprzedzające złożenie z tronu Abdula Azisa, rzekome jego samobójstwo, a właściwie skrytobójstwo, (dla upozorowania zbrodni włożono w ręce zamordowanego nożyczki, któremi sam miał sobie żyły poprzecinać)—wreszcie obawa, by go nie podejrzewano o przyczynienie się do śmierci stryja... wszystko to do głębi wstrząsnęło wrażliwy umysł młodzieńca. Prawie jednocześnie wybuchły w kraju rozruchy, które należało stłumić za wszelką cenę. Przez długi czas ukrywano przed narodem właściwy stan rzeczy; przez długi czas pod rozmaitymi pozorami odkładano ceremonię koronacyi Murada, ale wreszcie trzeba było odkryć tajemnicę i pomyśleć o następcy sułtana. Zdetronizowany Murad został uwięziony w pałacu Cziragan, gdzie w samotności

przeżył dwadzieścia ośm lat. Śmierć położyła kres jego niedoli, w d. 29 sierpnia 1904 roku. Pierwiastkowo zamierzano ogłosić Abdula Hamida regentem państwa, ale przyszedł sułtan zastrzegł się przeciw temu. *Aut Caesar, aut nihil!*

Zresztą Cezarem został nie odrazu. Ustupając przed natarczywym żądaniem wszechpotężnego Midhata paszy, którego mianował wielkim wezyrem, sułtan Abdul Hamid nadał Turcyi w d. 10 grudnia 1876 roku konstytucję. Jednak wkrótce potem Midhata pasza został aresztowany i stawiony przed sądem wojennym, który skazał go z początku na wygnanie, a potem na śmierć.

Ściętą głowę nowatora złożono u stóp padyśzacha, parlament został zamknięty, konstytucja zawieszona, a na jej miejsce ogłoszono stan wojenny pod pozorem obawy przed powstaniem chrześcijan.

Reakcja zapanowała na całej linii, poczęły się rządy dworskiej kamarylli, które doprowadziły Turcyę do zupełnej dezorganizacyi.

Czy odrodzona konstytucja wyprowadzi nawę państwa na czyste wody, czy zapowiadający ją promyk zajaśnieje zbawczym słońcem, czy też złudne tylko pokazuje *fata morgana*, tego dziś przesądzać nie podobna.

WŁADYSŁAW NAWROCKI.

BOLESŁAW PRUS:

## D Z I E C I

POWIEŚĆ.

32

— Mój Boże!... mój Boże!... — szeptała Linowska.—Jakie szczęście, że nie będzie tej waszej rewolucyi... Proszę cię, nie myśl o głupstwach... Zosi i dzieciom posyłam dwa pierniki i trochę makagig... Pamiętaj, powiedz im, że to mojej roboty... Sewerynowi daję trzy butelki miodu i dwie nalewki wiśniowej, pięcioletniej... Tylko ojciec niech żadnego trunku nie bierze do ust... Dębowski jak najsurowiej zakazał... O, ojca bardzo pilnuj, ażeby nie męczył się, nie zaziębił, dużo sypiał, na noc nie wiele jadał...

Ciepło odziane i ciężko stąpające dziewczuchy znowu weszły do pokoju, niosąc butelki i paczki z rozmaitymi spiżarnianymi produktami.

— Zostawcie to, ułożę sama... — rzekła pani Linowska.—Biedny ten Świrski, jeżeli go już ściga policya... Gdyby tak ciebie... o Jezu!... nie pozwoliłabym ci jechać...

— Więc wołałaby mamusia, ażeby mnie w domu aresztowali?...

— Nie gadaj głupstw, proszę cię... Naturalnie, że w końcu wysłałabym cię do Grudy, ze względu na bliskość Galicyi, ale pojechałbyś z jakim chłopem i przebrałabym cię za dziewczynę...

— Co też mamusia mówi!... — oburzył się Władek. — Ja za dziewczynę!... Piękna dziewczyna z brauningiem i stoma nabojami... Jakbym zaczął do nich kropić!...

— W imię Ojca i Syna... — przeżegnała się Linowska.—Władek, co ty pleciesz? Czy ty nie wiesz, co robią takim, którzy do po-

licy strzelają?... Władek!... Wolałbyś odrazu zabić mnie i ojca... Boże miłosierny, ten Jędrzejczak może zostawił rodziców, a oni zapewne i nie domyślają się, co spotkało ich syna...

— Każdego może spotkać to samo. Świrskiego... mnie...

— Boże!...—wołała matka, chwytając go za szyję.—Gdybyś ty miał... gdyby ciebie...

— Mamusiu—rzekł Władek, uwalniając się z jej objęć—wy oboje z ojcem nie tak uczyliscie mnie... A gdyby Ojczyzna zażądała od was mojej śmierci?...

— Co mówisz?... przecie ty bluźnisz... przecie Ojczyzna to matka... słyszysz: matka, więc jakimże sposobem mogłaby żądać od rodziców śmierci dziecka?...

— A przypomnij sobie, matusiu, wszystkie nasze bitwy od stu kilkudziesięciu lat. Te Raszyny, Somosiery, Olszynki, Ostrołęki, Żyżyny, Fajstławice... Przecież w każdej z nich ginęli synowie jakichś matek i może tylko dlatego jesteśmy w niewoli, że niezbyt wielu chciało ginąć...

Pani Linowska oparła łokcie na stole, ukryła twarz w rękach i cicho szlochała.

— Co on mówi!... co on mówi!...

Władek objął ją za szyję i szeptał:

— To ty—co mówisz, matuniu?... Przecie tyś mnie tego uczyła... wy oboje... A dziś, gdy ukazuje się ledwie cień ofiary dla Ojczyzny, już chciałabyś mnie powstrzymać...

—Ja?—zapytała Linowska nieswoim głosem. Podniosła się, otarła oczy i znowu zaczęła pakować.

— Ale mamuchna nie gniewa się na mnie? — rzekł po chwili, przymilając się, Władek.

— Powinnabym, ale nie będę, jeżeli obiecasz mi jak najczęściej pisywać listy...

— A to dobre! Rozumie się że będę pisywał...

— Codzień?...

— O, zaraz codzień... Daj Boże, ażeby z Grudy okazała trafiła się choć raz na tydzień...

— Ale ja proszę ciebie, ażebyś pisał codzień... parę wierszy... To tak łatwo. Weź arkusz papieru i codzień zanotuj choćby kilka wyrazów... To a to zdarzyło się nam... to robiłem... to myślałem... ojciec był w takim a takim usposobieniu... z tym a tym widziałem się... Ty nie wiesz, jak nudno w Leśniczówce, szczególnie gdy wszyscy wyjadają, więc mógłbyś osłodzić matce samotność i pisać, jak ci powiedziałam... Przecież wiele nie wymagam... kilka wyrazów... dwa... trzy wiersze... A gdy się trafi okazała, wyszlesz to...

Tak mówiła, uśmiechając się a z oczu płynęły jej ciche łzy.

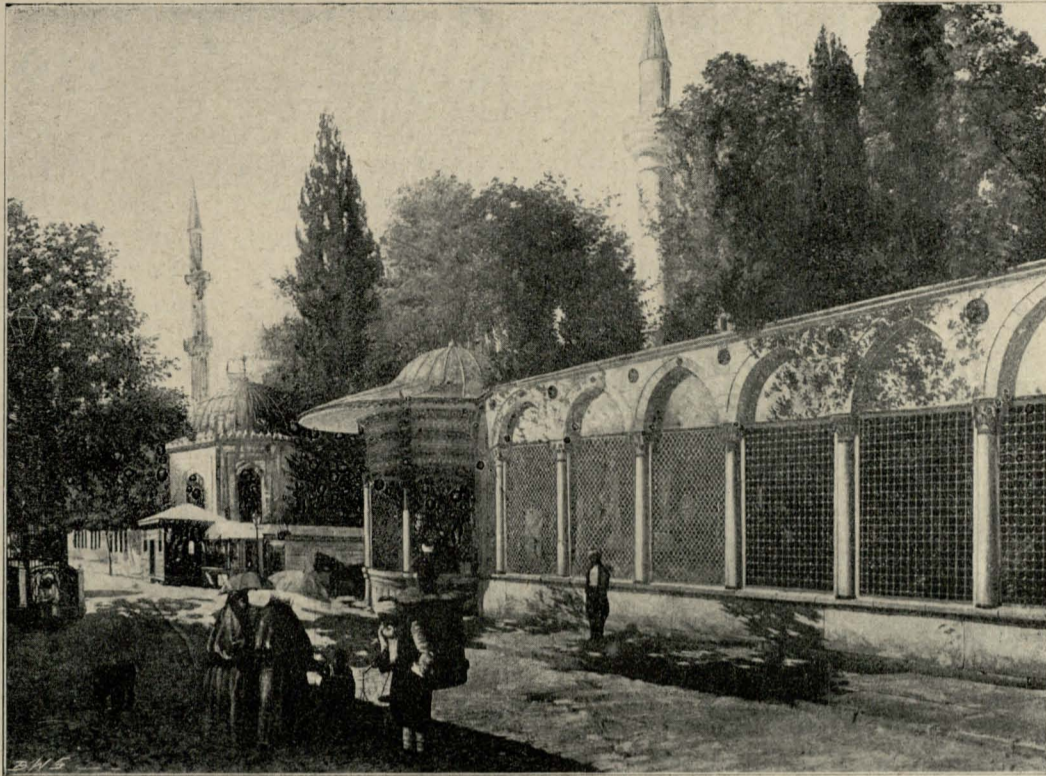
Zapukano do drzwi i wszedł Świrski, wysoki, jak zwykle wyprostowany, chowając coś poza plecami.

— Już gotów?... Dziękuję ci, Kaziu, i przepraszam!...—rzekł Władek. Odebrał od Świrskiego ukrywany przedmiot i, rozpiąwszy marynarkę, opasał się czarnym rzemieniem, z którego ciężko zwieszała się pochwa rewolweru.

ULICA SZACH-ZADE

W STAMBULE

Sztuka turecka.



mal. AHMED-ZIA BEY

— Zawsze to samo!...—westchnęła Linowska, z desperackim ruchem ręki.—Zawsze pali się w tej dziecinnej głowinie...

— Dziecinnej!...—przedrzeźniał ją Władek.—W życiu naszego pokolenia każdy miesiąc znaczy rok. Czy wreszcie wołałaby mama, ażebyśmy pojechali z tatkiem bez żadnej broni i wszystkie pakiety z miodami, nalewkami, makagigami a nawet... nasze trykoty oddali pierwszemu lepszemu złodziejowi, któryby nas zaczepił?

— Ale czy ty masz medalik, który ci dałam, kiedyś wyjeżdżał do szkół?...

Władek milczał, zmieszany.

— Widzisz, i nic mi nie powiedziałaś, choć sam wiesz, że na tę podróż trzeba ci najlepszej broni...

Odpięła sobie kołnierzyk, zdjęła złoty medalik na czarnym, jedwabnym sznureczku i zarzuciła go na szyję synowi.

— To Matka Boska Częstochowska—mówiła półgłosem—poświęcona u matki Boskiej Ostrobramskiej... Wielu cudów... wielu łask doznałam od Niej... Teraz niech ciebie ratuje...

— A ty, mamusiu, zostaniesz bez opieki?...—spytał Władek.

— Matka Bolesna i tak będzie czuwała nad matką smutną...

Władek ucałował jej obie ręce, oczy, usta i rzekł:

— Dość tego!... Gdybym tak dłużej rozmawiał, naprawdę zostałbym babą, za co mamusia pierwsza wyśmiałaby mnie i wykrzy-

czała... Prawda, mamó? Chodźmy, Kaziu, obejrzyć konie.

Właśnie przed dom zajechały duże saniki, ciągnięte przez parę tęgich siwków. U dyszla wisiał głośny dzwonek.

— A odwiąż-że mi to zaraz, do paraszala!...—wołał doktor.—Cóż to, chcesz tym dzwonem z całej gubernii zwabić złodziejów?

Paweł leniwie zszedł z kozła i, śmiejąc się, odpowiedział:

— Umyślnie przywiązało się takie wielkie dzwonisko, ażeby psiekrwie bojały się, a wielmożny pan myśli, że chciałbym ich zwabić.

I powoli odwiązał dzwonek, rzeczywiście imponujących rozmiarów.

(DCN)

## Z PIEŚNI MIRZA-SZAFFY:

*Historia o pięknej sułtance Fatymie.*

Jako na niebo wstająca zorza,  
Na wirydarzyk piękna sułtanka  
Ze wspaniałego patrzy kruźganka,  
Kędy fontanna z marmurów łoża  
W sennem omdleniu sięga srebrzyście,  
Pod drzew wyniosłych sklepione liście  
Spalone słońca złotym pożarem.  
Ona ze wszystkich niewiast haremu  
Najczarowniejszą krasą jaśnieje,  
Podobna róży kwieciu cudnemu,  
I padyszacha rozjaśnia harem;  
Piękniejszej nad nią pod słońcem niema:  
Jak u gazeli czarna źrenica,  
Usteczka—jako różany pąk,  
Jej wzrost smukłością palmy zachwyca,  
Alabastrową bielą—ramiona...  
I taki urok roztacza w krąg,  
Rozkosz śmiertelnych—piękna Fatyma  
Gdy, jak sarenka biegnie spłoszona,  
Że pod jej czarem każdy się śłania...  
Allah ją stworzył do czarowania!

Nagle z jej piersi krzyk się wrywa...  
Jasne źrenice chmura spowija:  
Widzi, jak z sieni krwi struga splywa...  
Niewolnik drżące jagnię zabija.  
Z oczu sułtance mkną łez potoki—  
I tak w żalości tonie głębokiej,  
Jakby to własna jej krew płynęła...  
Kiedy w jej sercu tak litość szczerą  
Nad nędzną dolą jagnięcia wzbiera,  
Tuż niewolnica przed nią stanęła.  
„Czy podziała trucizna?”—pyta  
Piękna sułtanka i żarem płonie...  
A niewolnica z skrzyżowanemi  
Rękoma, korna, drżąca skinęła.  
I słońce w oczach Fatymy świta  
I duma cudne rozjaśnia lico:  
„Tom jej zgasił szczęście na ziemi!  
Niechże on teraz z bólu się wije...  
Wprzód raczej sama siebie zabję,  
Niż mam przed taką drzeć miłośnicą.  
Czemu, ku szczęścia mego pomroce,

Tu złego ducha wiodła ją siła?  
Ja chcę, by jemu, w haremu noce,  
Jedyna tylko gwiazda świeciła!”

Ociera lica łzami zalane  
I znowu jasną, jak zorza ranna,  
Na wirydarzyk patrzy cienisty:  
Z marmurowego łoża, srebrzysty  
Pył rozrzucając, tryska fontanna  
Aż pod sklepioną z liści altanę.  
W powietrzu jakoś duszno i parno,  
Z oddali zbliża się nawałnica...  
Od liści wieje wonią cmentarną—  
Jasne sułtanka ciemniej ją lica  
I w swej komnacie pada na łożo...  
Szuka spokoju... znaleźć nie może.  
Lica, gorączki spalone spieką,  
Skryła w wezgiowie... i lży jej cieką  
...I pragnie zasnąć—a sen daleko!

WŁ. NAWROCKI.



— Jeno ten ostatni razik, Jagusi! ten ostatni! — szeptał błagalnie, jakby do niej. Długo potem przecierał oczy, wodząc niemi po drzewach, nim się pomiarkował i poszedł do kuźni. Michał był sam i właśnie już się zabierał do pługa.

— A strzyma twój wóz takie ciężary? — spytał.

— Byłem jeno miał co kłaść...

— Kiej obiecuję, to jakbyś już miał na wozie.

Antek jął pisać kredą na drzwiach i rachować.

— Jeszczek do żniw zarobiłbym ze trzysta złotych! — rzekł radośnie.

— Akuratnie miałbyś na sprawę — ozwał się kował od niechcenia.

Antek schmurzył się nagle i oczy zaświeciły mu ponuró.

— Zmora ta moja sprawa, co ją wspomnę, to mi wszystko z rąk leci, że nawet żyć się odechciewa...

— Nie dziwota, jeno to me zastanawia, że się za nijakim poratunkiem jeszcze nie rozglądasz.

— A cóż to poredzę?

— Trzebaby jednak coś zrobić! Jakże, dać się to pod nóż, kiej ten cielak rzeżakowi?

— Głową muru nie przebiję! — westchnął boleśnie.

Michał kuł znowu z zajądłością, zaś Antek pogrzyżył się w niepokojące i strachliwe dumania i takie myśle go nawiedzały, jaże mienił się na twarzy i zrywał się z miejsca, bezradnie latając oczami po świecie; ale szwagierek dał mu się długo trapić, szpiegując go jeno chytremi ślepiami, aż w końcu rzekł cicho:

— Kaźmirz z Modlicy umiał se poredzić...

— Ten, co to uciekł do Hameryki?

— A ten sam! Mądrała, jucha, przewąchał pismo nosem.

— A bo mu to dowiedły, że zabił tego strażnika?

— Nie czekał, jaże mu dowiedą! Nie głupi zgnić w kreminalu...

— Łacno mu było, kawaler.

— Ratuje się, któren musi. Ja cię ta do niczegój nie namawiam, abyś nie pomyślał, że mam w tem cosik swojego na widoku, a jeno powiedam jakto w przypadku robiły drugie. Jak ci się żywnie podoba, tak zrób. Wojtek Gajda z Wolicy też ano wrócił z kreminalu w same świątki. Cóż, dziesięć roków toć jeszczek nie życie, można przetrzymać...

— Dziesięć roków, Jezus kochany! — jęknął, chytając się za głowę.

— A tyle odsiedział w ciężkich robotach, juści co karwas czasu.

— Wszystko gotowem przenieść, bele jeno nie siedzenie. Jezus! siedziałem te parę miesięcy, a już me się dur chytał...

— A za trzy niedziele byłbyś już za morzami, niech Jankiel powie...

— Strasznie daleko! Jak to iść, wszystko ciepnać, ostawić dom, dzieci, ziemię, wieś i w tyli świat, na zawdy! — Zgroza go przejęła.

— Tyla poszło dobrowolnie i ani komu w głowie wracać do tych rajów.

— A mnie nawet pomyśleć o tem straszno!

— Juści, ale obacz Wojtka i posłuchaj, co rozpowiada o tym kreminalu, to cię jeszczek barzej zafrasuje! Jakże, chłop ma niespełna czterdzieści roków, a do cna już posiwiał i zgarbaciał, żywą krwią pluje i kulasami ledwie powłóczy. Jeno patrzeć, jak pójdzie na księżą oborę. Ale po co ci gadać, masz swój rozum, to się jego posłuchaj.

Przycichł w porę, zmiarkowawszy, że już w nim posiał niepokój, więc resztę zostawił czasowi, skrycie się jeno ciesząc z plonów, jakie spodziewał się zebrać. Ale, skończywszy pług, ozwał się wesoło:

— Poletę tera do kupców, a wóz gotuj na jutro, bo woził będziesz. O sprawie nie myśl, nie warto se psuć głowy, to ano będzie co będzie, i co Bóg miłosierny pozwoli. Przyjdę do cię wieczorem.

Ale Antek nie zapomniał tak zaraz; połknął te jego przyjacielskie powiadki, kiej ryba przynętę, i dławił się nią, darła mu ano wątrobę jaże ledwie się ruchał pod grozą męczących pomysłuńków.

— Dziesięć roków! Dziesięć roków — szeptał niekiedy, drętwiąc w strachu.

Mrok już zapadał, ludzie ściągali z pól, w obejściu podniósł się niemały rejwach, gdyż Witek przygnał stado, a kobiety kręciły się już kole udojów i obrządków, zaś na wsi jaże się trzęsło od przedwieczornych pogwarów i wrzasków dzieci, kąpiących się w stawie.

Antek wyciągnął wóz za stodołę, aby go przyrychtować i opatrzyć na jutro, ale wnet odechciało mu się wszystkiego, że jeno krzyknął na Pietrka, pojącego konie pod studnią:

— Nasmaruj wóz i wporządź, będziesz od jutra woził na tartak.

Parob zaklął siarczyście. Nie szła mu w smak taka robota.

— Zawrzyj gębę i rób, co ci każał Hanuś, daj trzy miarki owsa na obrok, a koniczyny przynieś im z pola, Pietrek, niech se podjedzą...

Hanka próbowała go rozpytywać, ale cosik jeno mruknął i, pokręciwszy się po obejściu, poszedł do Mateusza, z którym teraz żył w wielkiem przyjacielskim.

Mateusz tyle co jeno był wrócił z roboty i właśnie chlpał pod chałupą zsiadłe mleko la ochłody.

Zkądścis, jakby ze sadu, sączyło się ciche, żalodne płkanie.

— Któż to tam tak skwierczy?

— A Nastusia. Urwanie głowy mam z temi jamorami: zapowiedzie już wyszły, ślub ma być w niedzielę, a Dominikowa wczoraj zapowiedziała przez sołtysa, jako gospodarka na nią zapisana i Szymkowi nie udzieli ani zagona i do chałupy go nie puści. I święcie to robi, znam ja dobrze to sobacze nasienie.

— Cóż na to Szymek?

— A co, jak usiadł w sadzie rano, tak i dotąd tam siedzi, kiej ten słup, że nawet Nastusi nie odpowiada. Już się nawet bojam, żeby mu się rozum nie popsuł.

— Szymek! — krzyknął w sad — a pódzi no do nas: przyszedł Boryna, to może ci co poredzi...

Zjawił się po jakiejś minucie i usiadł na przyźbie, nie witając się z nikim. Juści, co chłopak do cna był zmizerowany i wyschnięty, kieby ta osinowa deska; jedne oczy mu gorzały, zaś w wychudzonej twarzy tało się jakieś twarde postanowienie.

— I cóżes umyślił? — pytał łagodnie Mateusz.

— A co, że wezmę siekierę i zakatruję ją, kiej psa!

— Clupiś! Bajanie ostaw do karczmy.

— Jak Bóg na niebie, tak ją zakatruję. Cóż mi to ostaje, co? Grontu mi po ojcach zapiera, z chałupy me goni, spłaty nie daje, to cóż pocznę? Kaj się sierota podzieję, kaj? I żeby to me rodzona matka tak krzywdziła! — jęknął, ocierając rękawem łzy, ale naraz porwał się i zakrzyczał: — Nie daruję, psiachmac, swojego, żeby miał za to zgnić w kreminalu, a nie daruję!

Uspokoili go natyla, co przymilkł i siedział chmurny, a tak nasrożony, że nawet nie odpowiadał na Nastusine łzawe szeptki. Oni zaś deliberowali, jakby mu pomóc, ale cóż, kiej nic z tego nie wychodziło, nie było bowiem sposobu na Dominikową. Aż dopiero Nastka, odciągnawszy na stronę brata, cosik mu przełożyła.

— Kobieta i nalazła mądrą radę! — zawołał radośnie, wracając pod chałupę. — A to powieda, bych kupić od dziedzica na Podlesiu ze sześć morgów na spłaty! Co, dobra rada? A matce można będzie pokazać starą panią, niech się wścieknie ze złości...

— Rada juści dobra, jak każda rada, jeno gdzie pieniądze?...

— Nastusia ma swoje tysiąc złotych, na zadatek chwaci...

— A kajże to jeszcze chałupa, lewentarz, porządki, zasiewy?

— Kaj? A tu! A tu! — wrzasnął naraz Szymek, wyskakując przed nich a trzając zaciśniętymi garściami.

— Tak się to mówi, ale czy uredzisz? mruknął Antek niedowierzająco.

— Dajcie mi jeno ziemię a obaczycie, dajcie! — zakrzyczał z mocą.

— To niema się co głowić a jeno iść do dziedzica i kupować!

— Poczekaj Antek, zaraz, niechno se wszystko w myślach ułożę... (CDN)



SZYMEK POGOŃCZYK

Rys. ANTONI PIOTROWSKI

## Szymka Pogończyka, witezia nieustraszonego, przygoda.

1)

Szymek Pogończyk, witeź nieustraszony, nad watahą Lisowczyków przewodził.

Gdy szedł w bój—czy to pod samym Lisowskim, na błoniach smoleńskich—

Czy później, pod Rogowskim, przeciwko Węgom i Czechom—

Czy pod ukochanym przez wszystkie watahy Rogozem—

Czy pod Rusinowskim, w potrzebie Chocimskiej—

Czy to nad wartkim Renem—

Czy w Lombardyi i Wenecyi—

Czy wreszcie, pod buławą pana Koniępczolskiego, na Szwedów najeźdźców, albo-li też w ostatniej, na obczyźnie, Lisowczyków wyprawie przeciwko Frankom—wszędzie i zawsze Szymek Pogończyk rwał na cisawym bachmacie, skrajem lewego skrzydła podkomendnego sobie półkola i wcinął się w najgłębsze nieprzyjaciół mrowie, by grot furczącej chorągiewką spisy, a w pierwszym jeno natarciu zażywszy tejże, bez wytchnienia potem, na turczynie z dobytym bułatem, siekł wokół, postępując przy każdym śmiertelnym zamachnięciu, jak chłop, co siekierą dębowe pnie rozszczypuje.

Tak było w szyku bojowym, a zaś gdy na przewidy, samoczwart z ulubionymi kompani szedł, to już mu równego nie znalazł.

Niby owa lizka do kojca, spotrafił zawsze dotrzeć pod nocy osłoną choćby w sam środek przeciwników leża, wypatrzeć co mu trza było,

narobić nieraz w śpiącym obozie gwałtu, i ująć bez szwanku, owszem dojawszy, ile się dało, przez łby napotykanych po drodze.

W jakowych on opresyach przy takich nocnych wyprawach się nie znajdował, to wiarę temu by dać trudno, a zuchwałości żołnierskiej i fortelów wojennych tyle różnych posiadał, że za skumanego z kusym-by go mieć można było, gdyby nie święte skaplerze, co nosił je na piersi włochałej i przy pacierzach całował.

Stąd tedy, przez wszystkie watahy Lisowczyków, Pogończyk Szymek miał dane przezwisko „Nieustraszony“.

Gdy szedł na ostre przez niebacznego lub ufnego zbyt w sobie, w swadzie jakiej, wyzwany, to rzuciwszy kabat, dłoń lewą za hajdawery włożył i, stanąwszy do pola, między zębami pogwizdując, poczynał zlekka, na śmiech i upokorzenie adwersarza, swawolną z tym zabawę, albo-li mu furknąwszy szablą, broń z ręki młyńcem w powietrze wytrącał, albo-li, jeżeli był już zawzięty, zapowiadał, że ów adwersarz ma nos przydługi, że gębę za szeroką, że ucho do oślego podobne i, jako medyk, według woli nosa przycinał, szamerował szpetnie gębę na znak wiekiusty, lub ucho ode głowy odejmował.

Nie zabijał nigdy, kontentując się krwi upuszczeniem i tem, że sam dotąd przez nikogo nie został w żadnej przygodzie draśnięty, ani poszwankowany.

Gdy szedł na ochotę myśliwską, zupełnie inaczej sobie poczynał, niż to zwykle jest w łowców praktyce.

Na tura, rogacza czy odyńca idąc, chłopów lub podkomendnych, wraz z psiarnią siał w knieje, by oni, zajawszy szmat boru, upatrzoną dzicz płoszyli na skraj lasu, tam, gdzie już rozciągało się pole, ugór lub rozległa polana.

Kiedy przerażony napastowaniem psów, wraskami i hukaniem naganki zwierz wypadł na obszar bezleśny, czekający tamże na wyuczonym k'temu ogierze Szymek wwał poczynał gonitwę na przelaj, przez wszelkie napotykanne przeszkody, by, dopędziwszy, wsadzić z konia w bok ściganej zwierzynie spise albo rohatynę i na trupie ubitej tym sposobem, ciężko dychając, odpoczywać.

Wilków i lisów brał w tenże sposób, ubijając je z konia obuszkiem.

Za gody zaś wielkie dla siebie uważał z bartnikami, w głodną dla tegoż porę zimową, spotkanie...

Szedł na lutego misia samowtór z pacholkiem jeno i bez wszelakiego oręża, za całe uzbrojenie mając nóż ostry, krótki a szeroki, który za trzoniec w zębach dzierzył.

Na upatrzonego w mateczniku niedźwiedzia puszczał podjudzoną psią hałastrę, aby kudłacza z zimowej ospałości ocknęły i do dzikiej szarpaniem kłaków doprowadziły alteracyi; kiedy zaś zwierz rozżarty na dyby się podnosił, Szymek zuchwale szedł k'niemu na spotkanie i, niby owe

podpite dwa chłopcy w bijatyce, zwierz z człkiem borykać się z sobą poczynali.

Pachołek wówczas, psy odpędziwszy, bacznie okiem śledził za pańską zabawą, w której, przy byle jakim uchybieniu lub potknięciu się nogi, śmierć okrutna, a co najmniej srogie kalcetwo mogło się stać nieustraszonego myśliwca udziałem.

W niebezpiecznym już tedy zazwyczaj dla pana swego momencie, pachol ów zdradziecko pętlę na łeb misiovi zarzucał, silnym targnięciem w tył go wywraçał, a Szymek, nóż z gęby w dłoń chwytając, pod łopatkę w słabiznę śmiertelnym pchnięciem pogłębiał.

Gdy szedł na amory, to w tem był pono najsroższy.

Mówiono o nim, że białogłowy feby ze strachu dostawały, jeno spojrział na którą przenikającym wzrokiem swoim.

Mówiono o nim, że jedna pono młódka pod lód, w przerębel z wielkiego kochania a i żalu po nim się rzuciła, że inna męża i dzieci dla Szymka cisnęła.

Mówiono, że inna znów, w hajdawery się przystroiwszy, by giermek szła z nim na dolę i niedolę, aż ją gdzieś w świecie choroba zmożyła pono.

Bywało, kiedy przyjdzie wataha Lisowczyków do wsi, na postój, to jakby mór siolo owe nawiedził; bo jeśli wieś była bezpańska, kmieca, sama w sobie, że się za nią nikt silniejszy nie ujął,—ile chłopcy było w wataże, tyle na młodki i niewiasty nieszczęścia do wsi przychodziło.

Tak było zawsze—ale inaczej, gdy Szymek z swoimi na wywczas kilkodniowy przybywał.

Każdy, co z nim był w pochodzie, za rabunek we wsi spokojnej brał srogie batogi, zaś za gwałt nad kobietą mężatą lub dziewczyną mógł nawet na polu zawisnąć w tejże wsi, gdzieby na srom niewieści zamach śmiał uczynić.

Ale, że cnoty Szymek Pogończyk wcale nie ślubował, więc przymileniem, przyłaskaniem, przyśpiewką, dobrem słowem, klejnotem z żołnierskiej zdobycznej sakwy dobytym, sam gładzyski k'sobie przynęcał i w tenże sposób żołnierzkom swoim dozwalał, aby tylko z wolnej woli poszanowaniem.

Że niby od ciągłego na deszczu, wichurze i mrozie i skwarze przebywania czarny był niby pół dyabła na gębie, zrazu nigdy szczęścia zbytniego do dziewczuch i niewiast nie miewał i kaptować je sobie musiał z pomocą onej kabzy żołnierskiej, gdzie w złocie i kamykach barwnych majątek znaczny pono nosił; ale gdy jeno która, na świecidełka łasa, ujął mu się w pazury dała choć na pół nocki, to umiał taki czar jakowyś w duszę niebogi zarzucić, że się potem po ziemi tarzała, rwała sobie włosy na głowie z żalości, kiedy nadeszła chwila wyjazdu watahy ze wsi, a Szymek się jeno śmiał i czapą na pożegnanie potrząsał.

Gdy szedł do tańca, to, poczynając od pierwszej, bez wytchnienia i przestanku kończył na ostatniej taneczniczce, aż zmachał wszystkie do półśmierci, aż ręce muzykusom od ciągłego grania drętwiały, a kiedy już wszystkie taneczniczki zaniemogły od znużenia, kiedy struny na skrzypkach się pozrywały, on, by z żelaza wykuty, podpijając nie rzadko pułhakiem wina, czy miodu, zaczynał sobie skoczno przyśpiewywać i z czeladniczej dziewczki dworskiej po kolei wyciągać i hulać, aż go słonko poranne, w ślepie mu zajrzawszy, uspokoiło.

Taki to Szymek Pogończyk, późną czerwcową nocą, czarną by czeluść piekielną, wracał do

watahy przez bór gęsty, od młynarki, co męża z czeladnikiem po ziarno na wsie okoliczne wyprawiający, sama rycerzyka godnie, jak przystało młodej, zasobnej w gorącą krew i w krasę niewieście, podejmowała.

We łbie mu się jeszcze kręciło od wystalego młynarskiego miodu i gorzej od miodu upojnych łask czarnookiej zuzuli.

Bór pachniał żywicą, dojrzałą jagodą i pszczołem zieleń, a cisawy ogier, poparskując od czasu do czasu wesoło, sprawnie wymijał ciasne pomiędzy drzewami przejścia, wybierając drogę dogodną bez kierunku ręki pańskiej, co przecież tylekroć razy mu się zdarzało.

Nagle stanął...

Szymek, ocknąwszy się z słodkiego po łaskach białogłowskich zamyślenia, przetaił kułakiem oczy i bacznie jął wpatrywać się w gąszcz leśny, zaciemniony do szczytu nieprzeniknionym mrokiem bezmiesięcznej nocy, jął nasłuchiwać pilnie, kto zacz stanął mu w poprzek na drodze...

Cisza była...

Bór jeno szumił zwykle, po swojemu, jeno ogier furkał trwożliwie chrapami...

— Ki kaduk? — pomyślał witeż i zlekka poślaskotał konia ostrogą.

Ogier drgnął, chrapnął już silniej, rozparł się osadnio na zadzie, lecz ani kroku nie chciał naprzód postąpić.

W ciszy nocnej dźwięknął brzeszczot szalicy, na wszelki przypadek z pochwy dobytej...

Ostrogi mocniej po skórze ogiera dojeły... koń śnać jednak, że nie mało był czemś zestrachany, bo jeno niesornie z kopyta na kopyto przestępował, bo silnie się pociał i na przednie nogi podrywał.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!... Kiś djabeł, że stajesz mi na drodze?... Czy ci boru za mało?... Czy cię skóra świerzbi, jeśliś człek śmiertelny?...

— Chwałę imię Pańskie lepiej od ciebie, watażko zbójników gromady — dał się słyszeć Szymkowi w odparciu głos przytłumiony, a tak dziwny, że w żaden żywy sposób poznać Szymek nie mógł, czy szedł ów głos z przodu, z przed niego, czy z za niego, czyli z prawego lub lewego boku.

Zrozumiawszy z wyzywającej odpowiedzi, że z człowiekiem i to z chrześcijaninem, boć Boga chwalcym, ma do czynienia, a nie z rosomakiem albo jaką siłą nieczystą, co byłoby trudniejsze do pokonania, nieustraszonego Lisowczyk, teraz już srodze rozsierzdzony, nie na żarty zorał cisawego po żebrach ostrogami, pochyliwszy się naprzód, ująwszy krzepko w garść szablicę, aby zuchwalca krzywą nauczyć za przestąpienie drogi i słowa obelżywe moresu; ale posłuszny zawsze nawet myślom pańskim ogier jęknął ino z dotkliwego bólu, wyciął parę szczupaków i w tył cofać się począł...

— Z drogi, psiawiario jeden, bo ci łeb na kapustę posiekam!... — wrzeszczał na całe gardło Szymek.

— Pogróżek się twoich nie lękam, boś przecie rycerz, a jam zaś bez oręża...

— Z drogi!!!

— Ni ja ci nie ustąpię, ni ty mnie objechać nie zdołasz...

WŁ. RENARD.

## NOWE KSIĄŻKI.

*Wacław Wolski.* Ballady tatrzańskie, poezye, Kraków, Gebethner i S-ka., 1908, druk W. Poturalskiego. Podgórze-Kraków, 8 ka, str. 44.

Od czasu, gdy Staszic odkrył Tatry, Pol i Goszczyński wprowadzili je do poezyi, od czasu, gdy za Cha-

łubińskim pociągnął tam tłum żądnych wrażeń turystów, góry te, jedyne w całej historycznej Polsce, stały się modne w literaturze i za Witkiewiczem popłynął tłum beletrystów i poetów, opiewających Tatry prozą i wierszem, jak: Nowicki, Tetmajer, Konopnicka, Kasprovicz, Orkan i wielu, wielu innych. „Taternizm” stanowi odrębną gałąź naszego piśmiennictwa, czekającą jeszcze na swego historyka.

Co powiedzieć o „taternizmie” p. Wacława Wolskiego? Już w pierwszym swym zbiorze poezyi p. t. „Nieznany” zrymował on kilkanaście sonetów tatrzańskich—teraz dał nam ballady. Czyż czujemy w nich bezpośredniość wrażeń, odbieranych od natury wzniosłej i groźnej? Na naturę górską trzeba patrzeć wzrokiem dziecka, odrzucić precz skorupę cywilizacji i „literackiego wykształcenia”, powrócić do owej pierwotnej, rousseau'owej prostoty (fikcyjnej zresztą!) pra-człowieka. P. Wolski idzie w góry, dumny swą książkową mądrością, siada na grzbiecie skalnego olbrzyma—i przewraca kartki myślowego leksykonu, jak Anglik — Baedekera. A czego tam niema w tej książce! w jednym tylko utworze czytamy, co następuje: „Dyana-Berenika”, „planetyog”, „biały duch pustego domu Ushera”, „ostatniem Om grozy poe'owskiej, Dulcynea z Toboso, Rejtan, „Pachnący król”, Bar, Targowica, „białego Orła—Weroniki ży”, Jeremiasz i Babilon! cała encyklopedia mądrości!

A czy znajdziemy między kartkami tego leksykonu choć zwiędłe kwiaty uczucia? Niestety, nie! P. Wolski ma wszelkie piętna baroku romantycznego w stylu: nagromadza obrazy ponure, lubuje się w „mocnych” słówkach, często trywialnych, lubi drwić i uragać. Oto próbka stylu:

Przed siebie gna,  
Pijana grozą,  
Upiorów ćma,  
Widm maskarada!..  
Próchnowe ślepie Dulcynei z Toboso..  
Piekielnych twarzy groza trupioblada,  
Hyenich uśmiechów potępieńczy lód,  
Trupiego flirtu zaduchy,  
Jak gdy powiozą  
Kogoś w katakumb stęchły, trupi chłód,  
A on się jeszcze pali do Kostuchy!..

Gdzież tu szczerłość? gdzież tu prawdziwe natchnienie?

*Karol Irzykowski.* Fryderyk Hebbel, jako poeta konieczności, nakładem księgarni i składu nut pod firmą A. Standacher i Spółka, Stanisławów, E. Wende i Sp., Warszawa, 16-ka, str. 215.

W wydawnictwie: „Literatura i sztuka, monografie”, gdzie ukazały się prace St. Brzozowskiego: „Współczesna powieść polska”, „Współczesna krytyka literacka w Polsce”, G. Baumfelda „Maksym Gorkij” i W. Feldmana: „Pomniejszyciele olbrzymów”, wyszedł też tom p. t. „Fryderyk Hebbel, jako poeta konieczności”, napisany przez autora „Pałuby”, p. Karola Irzykowskiego. Fryderyk Hebbel, urodzony r. 1813 w miasteczku holsztyńskim Wesselburen, był synem czeladnika mularskiego. Samouk, ciężko pracujący na życie, nie przechodził żadnej szkoły średniej, dopiero w Heidelbergu i Monachium uczył się na uniwersytecie w charakterze słuchacza nadzwyczajnego. Mając lat 26, wydał pierwszy swój dramat, p. t. „Judyta”, za którym poszły inne: „Marya Magdalena”, tragedia mieszczańska, „Herod i Marianna”, tragedia odwiecznego nieporozumienia między mężczyzną a kobietą, komedia „Dyament”, „Moloch”, „tragedya twórcy kultury i religii”, dalej „Agnieszka Bernauer”, najparodoksalniejszy, najzuchwalszy, najbardziej wyzywający ze wszystkich dramatów Hebbela, tragedia: „Pierścień Gigesa” i inne pomniejsze.

W charakteryzowaniu osoby Hebbela i jego twórczości p. Irzykowski ujawnia dużą wiedzę, nie tylko w zakresie literatury, ale i filozofii, i niemały talent literacki. W jednym tylko poznajemy dawnego autora „Pałuby”: w stylu, posuwającym do wysokiego stopnia oryginalności, często wyszukany, a zawsze złośliwym, zadzierzystym, buńczuczny, rozdającym „kuksy” komu się da, na prawo i na lewo. Pomimo to, książkę p. Irzykowskiego czyta się z prawdziwym zajęciem i nie bez pożytku, tem bardziej, że Hebbel dla nas Polaków to pusty dźwięk.

H. GALLE.



UCZESTNICY WYCIECZKI POLSKIEJ DO PRAGI CZESKIEJ.

## U stóp Wyszehradu.

Z nad brzegów Wełtawy, ze stolicy pobratymców naszych Czechów, przed tygodniem powrócili do Warszawy uczestnicy zbiorowej wycieczki polskiej, opromienieni świeżo przeżytymi wrażeniami w Pradze, tej gościnnej Pradze, która zgotowała była rodakom naszym iście królewskie przyjęcie.

Ale nie dla sentymentu tylko entuzjastowano się w stolicy Czech na widok 200 podróżników polskich, przybyłych specjalnie z Warszawy, w celu zwiedzenia jubileuszowej wystawy w Pradze.

Ruch słowiański jest w tej chwili deską zbawienia dla dzielnego, broniącego się świetnie, ale bądź co bądź tonącego społeczeństwa w morzu pan-germańskim. Niebezpieczeństwo Czechom nie od strony Austrii zagraża, chociaż pod jej pozostaje panowaniem, ale mądry, przewidujący niedaleką przyszłość naród odczuwa wybornie o ile większego ma wroga w Berlinie, ostrzegającego sobie zęby na wszystko, co jeszcze nie jest pruskie.

Czesi wybornie zdają sobie sprawę, że przyszłość Austrii jest nie do przewidzenia narazie, ale że ewentualność rozpadnięcia się państwa jest zgoła nie wykluczoną, a wtedy—wtedy Czechy spotkałaby najniezawodniej perspektywa Księstwa Poznańskiego, z jego bezprawnymi uchwałami sejmu pruskiego...

Dziś wreszcie Czechy przedstawiają jeszcze kraj nawpół ziemczony, mimo wszystkie bohaterские wysiłki narodu, aby wzmocnić się na siłach i wypierać żywioł obcy.

Czesi szukać więc są zniewoleni sojuszników. Zrozumienie interesu i pokrewność plemienna pcha ich coraz silniej w stronę sojuszu słowiańskiego, a że naród polski i kulturalnie i geograficznie najbliższy jest Czechom, więc ku Polakom nadewszystko wyciągają się serdeczne dłońe pobratymcze.

Ostatnia, świeżo odbyta wycieczka Polaków do Pragi dała właśnie nową znakomitą sposobność do zmanifestowania serdeczności czeskiej, którą zaznaczyć postanowiono w sposób jak najbardziej uroczysty. Tego wymagała zapoczątkowana świeżo akcja wszechsłowiańska, to było potrzebne przez wzgląd na nienawiść do największego wroga—Prus.

Czesi zapragnęli publicznie nie po raz już pierwszy stwierdzić, że za drobnym liczebnie narodem stoi wielkie sprzymierzone 20-to milionowe społeczeństwo polskie, że za Polakami zaś i Czechami łącznie tylnią straż trzyma cała potężna Słowiańszczyzna.

Uczestnikom wycieczki polskiej Czesi, stanowiący czoło narodu, wręcz oświadczyli, że bez Polaków byłiby oni narażeni wpraw, czy później na kompletną zagładę.

„My, Czesi—mówiono reprezentantowi wycieczki, Zdzisławowi ks. Lubomirskiemu—jesteśmy mocną fortecą, silną placówką warowną Słowiańszczyzny, wysuniętą daleko w morze germańskie. Ale, pomimo całej odporności naszej, jesteśmy fortecą, jak każda inna—do zdobycia. Aby zaś stała się nie do zdobycia, musimy czuć za sobą wielki obóz słowiański i mieć z nim komunikacje ściśle, a doskonale wyregulowane. Bratnich, wiernych sojuszników nam potrzeba, związanych z nami nie tylko sentymentami, lecz wspólnością interesów. Chcemy i musimy w Was, Polacy, mieć takich sojuszników, braci i współników. Bez poparcia Słowian, my, Czesi, nie zdołamy dotrzymać placu naporowi germańskiemu”.

Głośno stwierdzając już istniejący sojusz między dwoma bratnimi narodami, społeczeństwo czeskie zgotowało świeżo wycieczce polskiej tyle entuzjastyczne przyjęcie, mające charakter nie prywatny, lecz ściśle reprezentacyjny, bo wszędzie na czele gotowanych Polakom owacy stali przedstawiciele władz autonomicznych miast czeskich i postowie Czesi.

Tym sposobem wycieczka 200 osób, przy-

byłych z Warszawy do Pragi, wycieczka, mająca mieć zrazu charakter ściśle prywatny, przyjęła cechy wyprawy w całym znaczeniu politycznej.

Czyż mamy to brać za złe Czechom, że zmanifestowali tak gorąco przybycie gości z nad Wisły?

Warszawa, kraj cały, Polska cała, czekają jedynie sposobności, aby w sposób właściwy odplacić odpowiednio w przyszłości gościom czeskim na ziemi naszej.

Sojusz polsko-czeski, w celach wspólnej obrony nawiązany, spotyka się u nas z największą sympatią w szerokich kołach społeczeństwa naszego. Jest to sojusz, dyktowany nie tylko sentymentem pokrewieństwa, ale i zrozumieniem politycznego interesu. W kierunku wzajemnej serdeczności związek ten zacieśniać się więc musi coraz bardziej.

Ale czy sojusz polsko-czeski miałby jedynie na wzajemnych przyjęciach i odwiedzinach się opierać?

Nie! już uczestnicy wycieczki ogłosili w dziennikach czeskich, że: „Grono Polaków, przybyłych do Pragi, celem odwiedzenia narodu bratniego, dla upamiętnienia pobytu w stolicy Czech oraz w imię wielokrotnie podnoszonego hasła wzajemnego zbliżenia i poznania się postanowiło zebraną sumę 10,000 koron złożyć w Banku ziemskim w Pradze. Suma ta przekazana będzie mającemu utworzyć się komitetowi, złożonemu z Czechów i Polaków, łącznie zajmujących się krzewieniem oświaty, na zorganizowanie i zapoczątkowanie cyklu wykładów z dziejów kultury i historii literatury polskiej w Pradze dla Czechów i wykładów z dziejów kultury historii literatury czeskiej w Warszawie dla Polaków”.

A więc pierwszy krok zrobiono w dziedzinie nauki, stosunki zaś handlowe wchodzą i wchodząć będą na tory coraz realniejsze.

Porozumienia narodów, nie tylko już państw, przestały więc być idyllami w polityce społecznej.

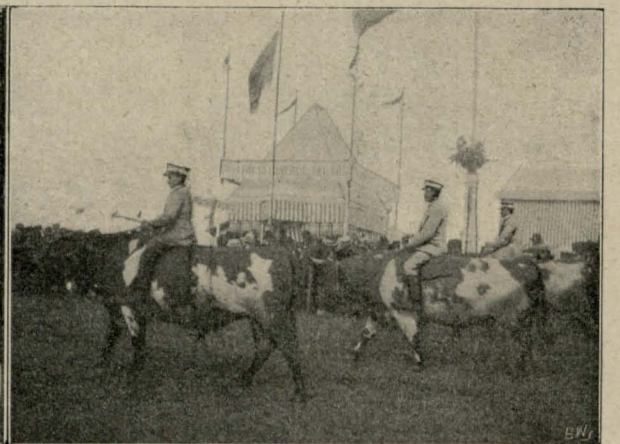
G.



Zagroda drobnego posiadacza Jonsa Ollsona w Kabbarp.



Typy ludowe szwedzkie. Rodzina Jonsa Ollsona w Kabbarp.



Wystawa w Erlöf. Pokaz bydła.

## Rolnicy polscy w Szwecji.

Z Danii do Szwecji droga niedaleka i, zdawałoby się z początku, niema różnicy między krajobrazami i między typem kultury rolnej. Trzeba dopiero zdać sobie sprawę z tego, że długość Szwecji w kierunku z południa na północ wynosi półtora tysiąca kilometrów, że wynikają stąd ogromne różnice w klimacie i florze, trzeba przypomnieć sobie, że północną granicą naszej wycieczki była linia przeprowadzona ze Sztokholmu do Göteborga, aby rzeczony podobieństwo sprowadzić do granic właściwych.

Rzecz w tem, że geograficznie dzieli się Szwecja na trzy części: południową, środkową i północną. Pierwsza, urodzajna Skania, historycznie i klimatycznie związana z Danią, jest krajem wysokiej kultury rolnej i dlatego była celem głównym naszej podróży. W środkowej mniej już widzieliśmy ze stanowiska rolniczego, natomiast, jako turyści, nie mogliśmy pominąć Sztokholmu i wspaniałych, choć zeszpeconych przemysłowymi budynkami, wodospadów w Trollhattan. Trzecia część Szwecji, kraina kilkunastodniowego nieprzerwanego stońca w lecie, a dwutygodniowej nocy podczas zimy, najpiękniejsza pod względem turystycznym, pozostała dla nas nieznaną.



Zatoka w Göteborgu wieczorem. W oddali statki wojenne eskadry angielskiej.

Wielce różne są cechy tych trzech części. Krajobraz Skanii—wielkie niwy uprawne, olbrzymie łąki, szerokie szlaki buraków—świadczą o wysokiej kulturze kraju, o wielkim dobrobycie, nie dostarcza jednak wzmianki estetycznych. Wyżej—melancholijna Smalandya, Gotlandya, wschodnia i zachodnia, krainy lasów i jezior, przypominały mi do złudzenia znaną, ulubioną, tęskną Finlandyę: te same drzemiące jeziora, te same skały, zaledwie pokryte rzadkimi sosenkami, lub sterczące tylko w prostym stroju mchów, ta sama ciężka walka człowieka z wrogimi warunkami przyrody.

Różnice występują też na tle ekonomicznym. Szwecja, ogólnie biorąc, jest krainą drobnej własności: na 298 tysięcy właścicieli posiadłości rolnych, 273 tysiące posiada zagrody nie większe od 20 ha (40 morgów naszych) obszaru. Te drobne posiadłości występują prawie jednolicie szczególnie na północy, mniej w środkowej Szwecji, południowa zaś Skania posiada najwięcej właścicieli wielkich majoratów szlacheckich.

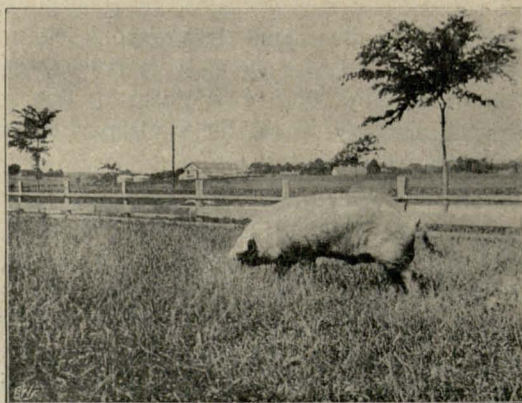
Ci magnaci dziedziczy siedzą na wsi, gospodarują sami i dzięki intensywnej i przemysłowej gospodarce mają znaczne dochody z posiadłości wielkich, których rentowność jest zwykle niższa. Gospodarstwa wielkie są wzorowe, i dlatego w Skanii zwiedzaliśmy je przede wszystkim.

Cechą tych gospodarstw (Sabyholm, Skabersjö, Nösbyholm, Atvidaberg (już w Gotlandyi) jest eksploatacja lasów, hodowla i plantacje buraków. W hodowli bydła przeważa znacznie rasa holenderska, aklimatyzowana już w Szwecji i zwana tu rasą nizinną, oraz rasa angielskiego pochodzenia Ayrshire'ów. Wyłącznie te dwie rasy występowały na wystawie rolniczej prowincjonalnej w Eslöf. Była to wystawa wspaniała (239 koni, 730 sztuk bydła rogatego, wielki dział maszyn i narzędzi rolniczych), a obejmowała tylko dwa *län'y* (niby nasze gubernie co do znaczenia administracyjnego, a kilka powiatów co do obszaru terytorialnego), Malmö i Kristianstad, co prawda najbogatsze w Szwecji, a zwane razem Skanią.

Kultura rolna promieniuje tu z własności większej na drobną. Takich doskonałych inwentarzy u włościan, jakie widzieliśmy na wystawie i po zagrodach, nie widzieliśmy nawet w Danii. Przyczynia się do tego znakomita wprost organizacja rolnictwa i hodowli. Prócz różnych organów powołanych muszę zanotować związki drobnych gospodarzy danej wsi czy okolicy, w celu wspólnego zakupu i eksploatacji rasowych buhajów. Występowały one na wystawie, wiodąc za sobą liczne szeregi doborowego potomstwa.

Stopa życiowa i poziom kultury nietylko drobnych właścicieli, ale nawet robotników rolnych jest bardzo wysoki. W jednym z majątków w Sabyholm widzieliśmy kilkadziesiąt robotnic Polek z Galicji i naocznie mogliśmy stwierdzić olbrzymią przepaść kulturalną, dzielącą je od miejscowego otoczenia włościańskiego. Płaca, dla naszych kobiet wysoka, z powodu bardzo lichego odżywiania się, a więc możliwości oszczędzania, ze stanowiska szwedzkich robotników rolnych jest zaledwie wystarczająca.

Zarówno w dworach magnackich jak i w zagrodach włościańskich doznawaliśmy wszędzie bardzo serdecznego przyjęcia. Poznaliśmy arystokrację oświeconą,



Wspaniały okaz uszlachetnionej rasy duńskiej w Sanderum, u p. Brandta.

pracowitą, żywo interesującą się sprawami swego kraju i podnoszącą istotnie poziom jego kultury, poznaliśmy damy, pełne uroku i wdzięku. I wywozimy ze Szwecji wrażenia najmiłsze.

Kultura zewnętrzna ludzkości Danii i Szwecji jest różna: w najogólniejszych zarysach można ją scharakteryzować, jako chłopską i szlachecką. To znaczy, że w Szwecji, we wszystkich warstwach znajdziecie większy wykwint, większą delikatność obejścia, słowem lepsze formy towarzyskie, niż w Danii. Bije to w oczy na każdym kroku, uderza zaś szczególnie w obsłudze. We wszystkich hotelach usługa jest żeńska; służące zaś odznaczają się taką godnością, wdziękiem i uprzejmością obejścia, że nie ustępują w niczem pannom z innych sfer towarzyskich.

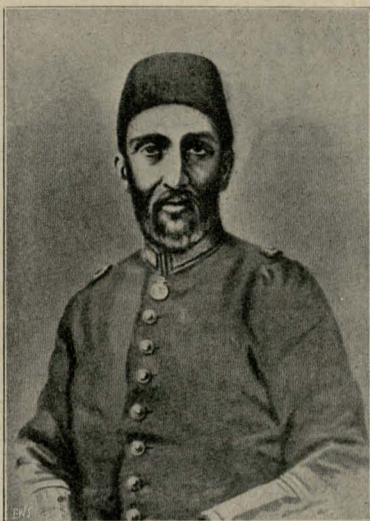
Słówek jeszcze o oświacie na ziemiach skandy-nawskich. Nauczanie początkowe jest powszechne, bezpłatne i przymusowe; wyższe szkoły, średnie, uniwersy-



Typy arystokratek szwedzkich. Hrabina Cederström z córeczkami, Kariną i Brittą, na ganku pałacu w Nösbyholm.

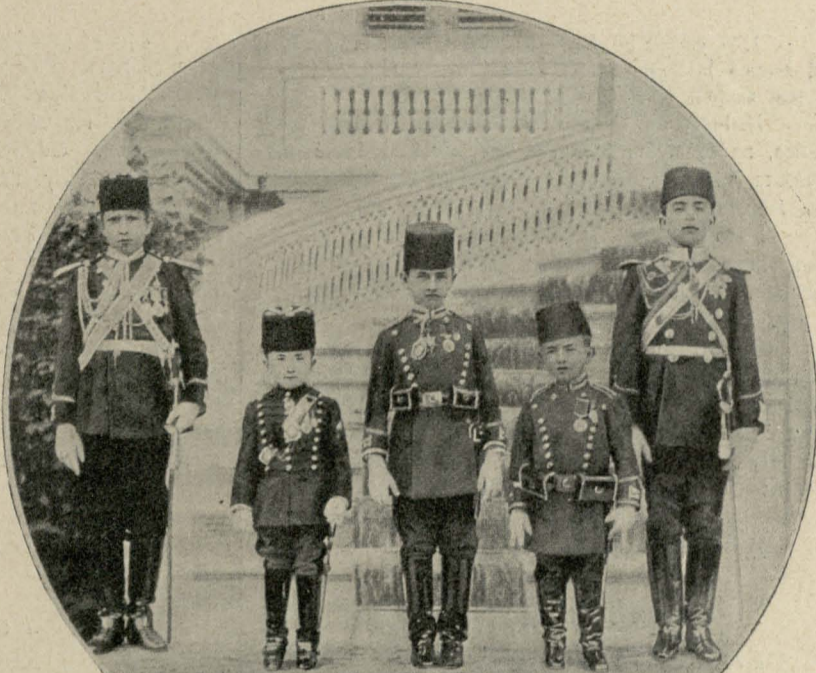
tety ludowe—wszystko to istnieje i gdzieindziej. Ale w Danii wytworzył się, a następnie rozszerzył na Szwecję i Finlandyę typ szkoły swoistej, o ile mi wiadomo, nieznaną gdzieindziej. Mam na myśli t. zw. wyższe szkoły ludowe.

Właściwie są to kursy półroczne dla starszych w internatach; przeciętny wiek uczniów wynosi 20—22 lat i waha się w granicach od 16—30 lat. Szkoły te mają na celu wyłącznie i jedynie kształcenie dobrych obywateli kraju, pozbawione są więc umyślnie wszelkich cech praktycznych. Uczą w nich historii, literatury, etyki, ażeby przez związanie jednostki z przeszłością, z kulturą narodu, przez wpojenie w nią zasad postępowania w życiu prywatnym i społecznym, wytworzyć właśnie ten typ dobrego obywatela, który jako cel idealny przyświecał inicjatorom. Szkoły wyższe ludowe, na równi zresztą ze wszystkimi licznymi kursami fachowymi w szkołach rolnictwa, ogrodnictwa, mleczarstwa, gospodarstwa domowego i t. d., zawdzięczają byt swój inicja-

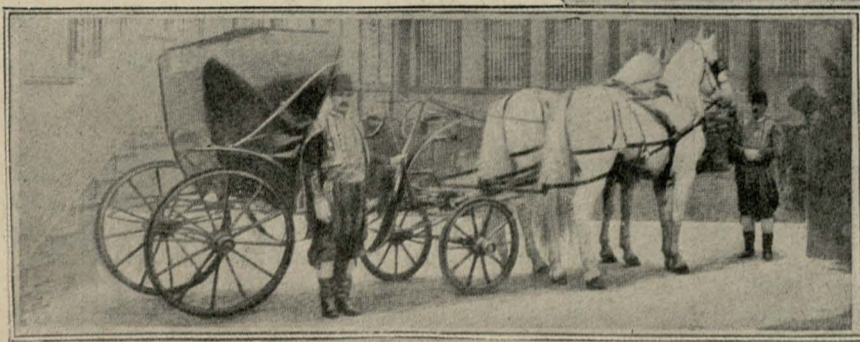


Sułtan Abdul Hamid.

cyja nie może być już pogwałcona. Następnie w szeregu niewzruszonych postulatów określa rozmiary swobód łaskawie „nadanych” narodowi, a więc: Wszyscy poddani korzystają z wolności osobistej; nikt bez zasady prawnej nie może być pociągnięty do śledztwa, aresztowany, osadzony w więzieniu lub ukarany. Sądów nadzwyczajnych ustanawiać nie wolno; mieszkanie każdego jest nietykalne. Wszyscy korzystają z swobody ruchów. Prasa przed wyjściem na świat nie może być kontrolowana przez rząd. Listy prywatne, gazety nie mogą być przetrzymywane przez pocztę. Wprowadzona zostaje swoboda nauczania. Urzędnicy nie mają być posłuszni rozkazom sprzecznym z ustawami, mogą kiedykolwiek bądź podawać się do dymisji. Projekty ustawodawcze, niezbędne do zmiany praw obowiązujących, złożone będą izbie poselskiej. Armia będzie zreorganizowana.



Dzieci sułtana.—Ekwipaż dworski.



tywom indywidualnym, poczem dopiero przychodzi ze stałą zapomogą rząd.

\* \* \*

W wycieczce naszej widzieliśmy wiele rzeczy ciekawych i pouczających. Czy przyniesie ona jakie rezultaty pozytywne, w rodzaju zawiązania stosunków hodo-wlanych, importu maszyn, rozszerzenia importu nasion z doskonałej stacyi w Svalöf, wysyłania młodych rolników na naukę i praktykę do Szwecyi i Danii, a do tego wszystkiego pragnęlibyśmy odpowiednie instytucje i osoby zachęcić,—dziś przesądzać trudno. Jedno jest pewne, że uczestnicy przywożą z niej wiele korzyści dla siebie, obok wspomnienia kilkunastu dni, spędzonych w sposób pouczający i miły, w zupełnej harmonii towarzyskiej. Zasługa w tem niemała kierownika naszej wyprawy, p. Antoniego Wieniawskiego, sekretarza Centralnego Towarzystwa Rolniczego, którego niestrudzona praca organizacyjna, informacyjna, gospodarcza przed i podczas wyprawy zapisała się jak najlepiej w pamięci wszystkich uczestników naszej wycieczki.

LUDWIK WŁODEK.

Młodoturcy i Konstytucya.

W nocy z dn. 2-go na 3-ci sierpnia sułtan wydał komunikat, w którym uroczysto ogłasza, że konstytu-

Jeżeli młodoturcy potrafią utrzymać się u steru władzy i przeprowadzić ten program, to Turcyja stanie się rzeczywiście krajem wolnego życia. Że tak będzie, mamy dowody w energii młodoturków i prostolinijnym sposobie ich dążeń. Oświadczyli oni, że dopóty nie rozwiążą swojej 150,000-cznej uzbrojonej organizacyi, dopóki nie uzyskają dostatecznej gwarancyi, że żądaniom ich stanie się zadość. Z ich to także inicjatywy, jak można przypuszczać, mają zostać sprowadzone do Konstantynopola wojska z Salonik, czyli wojska młodoturckie, w liczbie trzydziestu tysięcy — dla utrwalenia świeżo zdobytch swobód.

Dopóki jednak wojska te wraz z komitetem młodoturckim nie staną w stolicy Padyszacha, dopóty sytuację nazywać można niewyjaśnioną, dopóty grozić mogą Turcyi i Europie tysiące niebezpieczeństw. W każdym kraju znajdują się czarne scynty, gotowe do burzenia wszystkiego, co zwiastuje odmianę. W każdej obalanej już sprawie znajdują się ludzie, którzy nie pogardzą żadnym środkiem, aby do władzy powrócić. To też już teraz rozlegają się w telegramach głosy o tem, jakoby „podobno” całe oddziały wojsk odmawiały przysięgi na konstytucyę — w Adryanopolu naprzykład. Ponieważ zaś wiadomo, że nie tylko tureckim zwolennikom reakcyi, nie tylko tureckim łapownikom zależy na powrocie do dawnej samowoli rządowej i na słabości Turcyi, więc niejedną jeszcze walkę—może nawet krwawą—będą musieli zapewne stoczyć młodzi Turcy, zanim osiągną zupełne zwycięstwo na długie lata wolności. Niektóre państwa europejskie naprzykład, którym komitet rewolucyjny turecki dał do zrozumienia, że opieka ich nad Macedonią już skończona, znalazły się w położeniu dziwnie śmiesznem. Szczególniej Austria, właścicielka „jure caduco” Bośni i Hercegowiny, będzie musiała teraz... za przykładem „barbarzyńskiej” Turcyi nadać tym dwom krajom konstytucyę, prawo wyborów, sejm—jeżeli zechce uniknąć niemiłych konfliktów z wiernymi poddanymi, a może też Turcyą... Zresztą

na chęci prolongowania „kontroli” nad chorym człowiekiem nie zbywa żadnemu mocarstwu. Może więc czekają tylko sposobności zaburzeń, wojny domowej w państwie Osmanów?

Lecz tu najgorętsze pragnienie wstrzyma zapewne obawa—wojny europejskiej. Na to może mogą liczyć młodoturcy... K.

Prasa i cenzura turecka.

Z narodu tureckiego, po utraconej przed kilkudziesięciu laty konstytucyi, ponownie spadły okowy. Piersi tureckiej wolno swobodnie odetchnąć, prasie zaczęło być wolno wypowiadać prawdę.

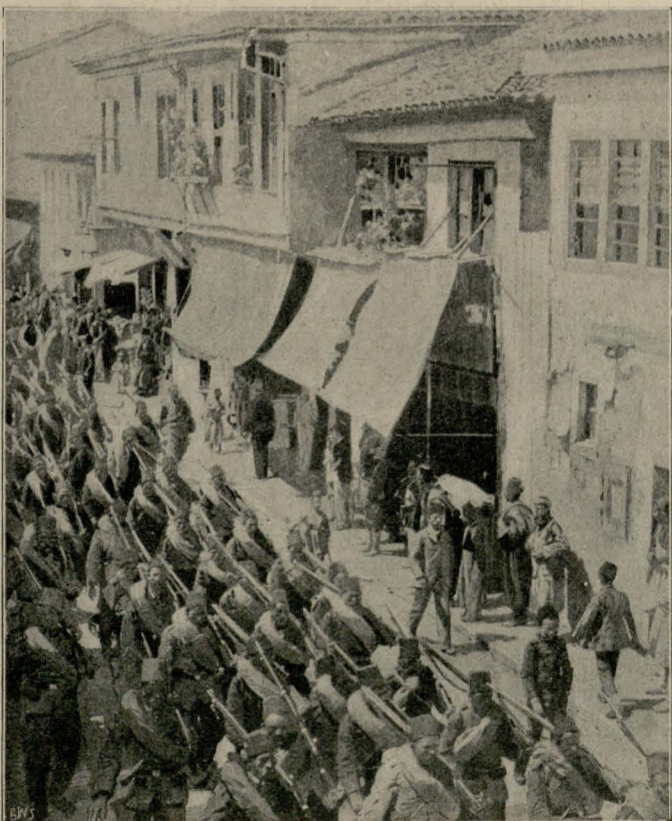
Wraz z ogłoszeniem praw konstytucyjnych, w Konstantynopolu i całym państwie otomańskim redakcyje usunęły ze swoich lokalów komisarzy, dążących do tłumienia swobody drukowanego słowa, i ogłosiły się od-tąd dziennikami wolnymi, bez cenzury.

Dotychczas gazety tamtejsze musiały przyjmować za dogmat polityczny, że w Turcyi wszystko jest najlepszem w świecie i że przeto wszelkie dążenie do reform jest narodową klęską. Ale czemuż się dziwić, jeżeli przypominamy, że w Turcyi ani jeden wiersz druku nie mógł ukazać się bez kontroli cenzury?!



Gazeta turecka: „Journal Terdjum in-I-Hakikat”.

Pozbawiona wszelkiego wyrazu i skrzydeł prasa turecka przedstawiała istne pobojowisko znęcań się cenzorów nad wszelkimi artykułami, wykraczającymi poza sferę komunikatów rządowych.



Zrewoltowane wojsko tureckie.

Tym sposobem administracja turecka pozbawioną została jakiegokolwiek kontroli ze strony prasy, a tem samem opinii publicznej.

Nadużyciom urzędników tureckich nie było więc końca, na czem cierpiała zresztą głównie ludność najuboższa, nie mogąca należycie opłacać się żądnym grosza funkcyjuszom administracji miejscowej.

I oto obecnie, jako konsekwencja ogłoszenia konstytucji, cenzura zostaje zniesioną w państwie tureckiem. Odtąd więc prasa tamtejsza nabierze wyrazu i siły. Młodoturcy odnieśli zwycięstwo!

Wraz z prasą turecką swobodę tę święcą i pisma w europejskich wydawane językach w stolicy nad Bosforem. Dzienników angielskich, francuskich, nie zliczyć w Turcyi. Wszystkie one dzieliły dotąd smutne losy konsekwencji cenzuralnych. Prawdy podać nie było wolno, nie pozwolono nawet rozwinąć się należycie informacyjnym działom w gazetach.

Martwa prasa ożyje!

### Wymiana przysług.

...Zygmunt przetarł dłonią zmęczone od długiego skupionej uwagi czoło i rzucił gruby tom Kanta obok siebie na ławkę.

Spojrzał na zegarek — była dziesiąta.

Od godziny siódmej siadywał zwykle tu, na tej najstronniejszej ławce Saskiego Ogrodu, w poszukiwaniu odrobiny świeżego powietrza, samotności i ciszy... Ale teraz oto kończyło się to wszystko.

Powietrze zaczynało stawać się coraz cięższe od nadchodzącego lipcowego upału, miejski węglowy dym rozsnuwał się coraz gęściej, a ogród roił nadpływającą wciąż rzeszą publiczności. Dzieci wносиły zwykły sobie gwar i krzyk, przechodnie — wstrętne czasami zapach złego tytoniu, ubodzy Żydzi — niemiły odór cebuli...

— Psiakrew! Już jest miłe miasto i tłum... — mruknął, objąwszy okiem to wszystko, chłopak.

Więc niedługo schylił młodzieńczą głowę, oparł łokcie na rozstawionych kolanach i, wsunąwszy wszystkie dziesięć palców w bujną płową czuprynę, przymknął oczy.

I nagle, jakby w przeciwstawieniu do tego, co go otaczało, stanął mu w myśli inny obraz... Wielki szmat jasnego nieba, i wielki łan złotej pszenicy falującej w jaskrawem słońcu, i drgające fale przeczystego powietrza, zapach przestrzeni pól i jakichś ziół, których nie pamiętał nawet nazwy, i wstęgi jakichś dróg, które nie wiedział dokąd prowadzą...

Dawno to już bowiem, ogromnie dawno, jak, będąc ośmioletnim chłopcem, spędzał ze świeżo owdowiałą matką wakacje u dalekiego krewnego na wsi. Pozostało mu tylko po tem jakieś jasne wspomnienie, jakiś niezmiernie szeroki krajobraz, i echo dzwoniącej w polu skowronczej pieśni — i wieczna, niezaspokojona tęsknota... Dziś krewny nie mieszkał już na wsi, i Zygmunt też od tego czasu prawie że nie opuszczał murów miasta, pochłonięty cały nauką. Ale teraz wakacje... Szkolne wykłady zawieszono...

I naraz przemknęła mu szalona myśl, szybka, jak grom pioruna.

Ale w odpowiedzi szarpnął tylko ramionami, z głucho ironią, tak wydała mu się dziwną... A jednak gdyby tak... Gdyby?...

Jest młody, zdrow, i zawsze lubił ćwiczenia ciała i ruch... Teraz zabija go poprostu ta ślimacza bezczynność, w przesiąkłym dusznym upałem mieście...

Ramiona prężą się same do jakiejś fizycznej pracy, do lotu!...

Ofiarowałby przecież całą swą pracę... Fachowego wykształcenia w tym kierunku nie ma, to prawda. Ale przeszedł kurs mechaniki i potrafiłby chyba od biedy naprawić zepsutą żniwiarkę, czy jakie tam inne lichy, potrzebne do użytku w polu... A potem, mógłby bodaj notować wozy, kopy, czy mendle, wjeżdżające do stodoły, jak to kiedyś, u wuja, czynił karbowy... Mógłby też dozorować gdzieś, przy stawianiu stert, czy stogów, bo zna prawo równowagi, lub choćby zanosić rozporządzenia właściciela na pola, w ręce właściwej władzy...

To wszystko to przecież nie trud, to przyjemność!...

Ach, a przytem kąpać się cały dzień w czystym słońcu, i oddychać pachnącem ziemią powietrzem, i patrzeć jak silne, ogorzałe ręce, cały dzień w ruchu, zbierają Boży plon, a czasem znużonym tym dłońmi przyjść wedle sił swoich z pomocą!...

Co za myśl... Co za szalona myśl!...

Głowa poczęła mu pałać, a płuca nabierały dechu coraz szybciej, gdy nagle poczuł, że ławka, na której dotąd siedział sam, drgnęła. Ktoś drugi usiadł. Podniósł niechętnie wzrok i zobaczył wyciągniętą do siebie dłoń: przyjaciela-kolegi. Nie mógł wytrzymać...

Jednym tchem, z całym zapalem rozbudzonych myśli, wyrzucił z piersi całą treść swoich dumań.

Ale Kazik, wysłuchawszy wszystkiego cierpliwie, uśmiechnął się drwiąco.

— Naturalnie, i swoją pracą za darmo będziesz napychał pełne i tak kieszenie „dziedzicom“!... Prawda?...

— Tak... Jeżeli to, co ja, niemający pojęcia o racjonalnem gospodarstwie zrobię, nazwiesz „pracą“!... Ale i w takim razie, jeżeli ja dam tę trochę mojego trudu, to on napcha za darmo moją gębę... Dziedzic da mi wzamian mieszkanie i życie...

— Fiu, fiu!... Aż tyle... Kosztowne życie! Mleko na rano, kawałek mięsa, ale za to dużo jarzyny — na obiad, i kwaśne mleko z kartoflami — na kolację... Wykwintny stół! Nie utyjesz zbyt od niego — przygotuj się...

— Jesteś głupi, kolego!... Policz więc, co taki stół kosztuje cię w mieście... Jak wiesz, bogatym nie jestem. Mam jednak w domu co jeść, dzięki temu, że matka pracuje cały dzień nad robotą sztucznych kwiatów, właśnie tylko po to, aby mi zapewnić życie, możliwość nauki i cały mundur na plecach. I wiem, że, przy najściślejszym rachunku, utrzymanie latem jednej osoby kosztuje nas do 50 kopiejek. Czy sądzisz, że właściciel majątku ma to wszystko, co daje u siebie na stół,

za darmo?... Musi wyżywić cały rok krowy, aby mu dały mleko, uprawiać stale ziemię, aby mieć jarzynę. A to wszystko samo się też nie zrobi!...

— No tak, tak — odrzucił nawpół przekonany Kazik. — Ale teraz znajdź dziedzica, który cię przyjmie na lato, bez obawy, że ofiarując mu tak bezinteresownie swoje usługi, nie zbuntujesz mu socjalistycznymi ideami całej robotniczej rzeszy!...

Te słowa nieoczekiwanym gromem uderzyły w Zygmunta.

Zadumał się głęboko i poważnie.

— No, wiesz... — zaczął po chwili. — To przecież byłoby świństwem z naszej strony, odpłacać tak za przysługę. Zresztą znasz przecież trochę moje w tym względzie poglądy... Nie należę dotychczas do żadnej partii i nie poddaję się ślepo żadnej idei, oprócz idei zdrowego uczciwego rozsądku, i ręczę ci słowem, że robotnika, który przez cały dzień żnie sierpem w polu, za nieszczerliwego ani pokrzywdzonego nie uważam. Miewa on czasem nad swą głową skwar letniego nieba, to prawda, i miewa wiatr, który mu dmie w oczy, lub dużo bujnego zielska w życie, które mu płacze palce, i to prawda... Ale któż z nas ma życie bez znoju?... O ileż więcej jest godnym pożalowania ten tam, w wielkiej, przesiąkłej kurzem i ogłuszającym hukem maszyn halli, z ciałem oblepionem potem od gorących motorów, i drżącym pyłem przędzy, zasklepiającym mu nozdrza... Porównaj, Kazik, porównaj!...

Ale żać, ale podawać snopy w czystym, zdrowym powietrzu, a potem jeść czarny chleb i zsiadłe mleko — czyż to nie jest dla tych, przywykłych zwłaszcza do tego, ludzi łatwiejszem od... wysłuchania bodaj jednego rozdziału Kanta!...

Roześmiał się szczerem, młodzieńczym śmiechem i kończył:

— Słuchaj, Kazik! Co do mnie, mógłbym nawet przy umowie z dziedzicem podpisać słowem honoru przyrzeczenie, że żadnych tematów, oprócz obowiązków i pracy, z ludźmi jego nie poruszę... Ja mu zaoferuję swoje dobre chęci i młode, spragnione powietrze, słońca i ruchu ramiona, a on mi da wzamian dach i skromne a zdrowe pożywienie. I oto wszystko!...

Czy sądzisz, że nie możnaby się w ten sposób, ze wspólną korzyścią porozumieć, i czy nie znalazłby wśród nas, młodych, naśladowców cały legion!?

Wszak byłaby to tylko między nami pożyteczna i obywatelska „wymiana przysług“. AW-A.

### Wykopalisko.

W pobliżu kolejki Wilanowskiej, między Konstancinem a Jeziorną, na wzgórzu, na którym stoi wiatrak p. Wł. Sieradzkiego, przy kopaniu znaleziono grób 3 łokcie długi i 1 i pół szeroki, z dużych, wewnątrz oszlifowanych kamieni, a w nim 15 urn większych i mniejszych.

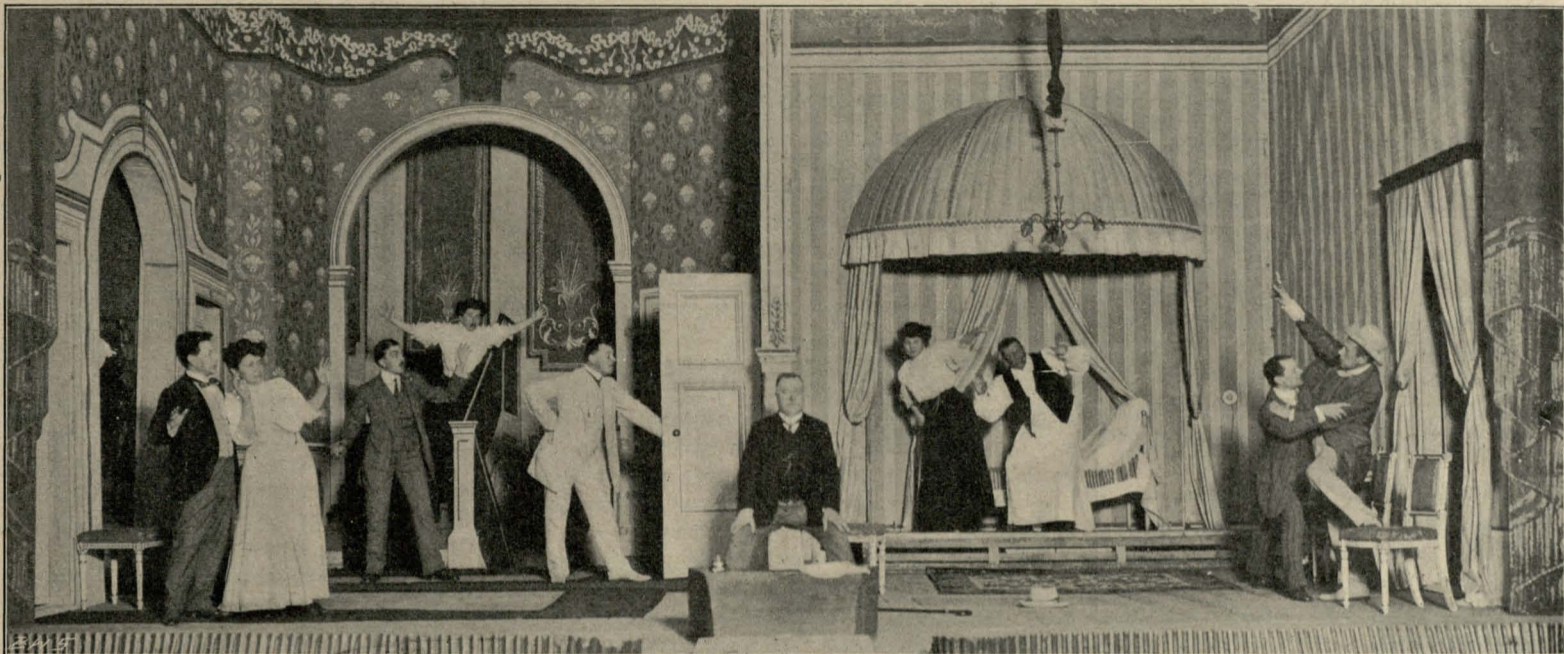
Ponieważ kopający, w zbytnej ciekawości, potwierzali urny, z których, w dodatku, kilka... rozdarli sąsiadom, pozostało do umieszczenia w muzeach tylko 7.



Mec. A. Kraushar i reJ. E. Majewski (pierwszy i drugi od lewa na prawo) w otoczeniu przedstawicieli prasy i osób zainteresowanych przybyli do Jeziorni.



Zabytki przedhistoryczne z grobu słowiańskiego w Jeziornie. Kamienie z grobowca i urny z popiołami.



PRÓBA JENERALNA FARSY „HOTEL POD FIGLARNYM KOTKIEM”.

Z tych dwie redakcja „Kur. Warsz.” przesłała Towarzystwu opieki nad zabytkami przeszłości, p. Sieradzki zaś resztę obiecał ofiarować p. Erazmowi Majewskiemu, do jego zbioru przedhistorycznego, ofiarowanego już Tow. opieki nad zabytkami.

P. Erazm Majewski objaśnił, jak pisze „Kuryer Warsz.”, że grób pochodzi z epoki kamiennej, liczy około 2,000 lat i należy do rodzaju t. zw. „grobow skrzynkowych” układanych z głazów, które dość często spotykać się dają w porzeczech Wisły, Odry i Warty, gdzie ludy lechickie, ziemie te zamieszkujące, paliły ciała nieboszczyków i popioły ich składały w urnach glinianych.

Urny, u nas dobywane, prawie nie różnią się od urn, dobywanych z ziemi z analogicznego okręgu w Europie zachodniej—odznaczają się symetrycznością, dużym poczuciem piękna i oryginalnością kształtów.

Dla zbadania wykopalisk wyjechał na miejsce p. Aleksander Kraushar, znany historyk, prezes Komisji starej Warszawy Tow. opieki nad zabytkami przeszłości.

## WIECZORY TEATRALNE.

*Powolne obniżanie się repertuaru teatralnego.—Najświeższe tego upadku objawy.—„Hotele pod figlarnym kotkiem” i „Kluby samobójców”.—Teatr i życie.—Reakcja.—Czy i jak da się ona zażegnać?*

Po „Aszantce” Perzyńskiego w Letnim, „Simona” Eugenisza Brioux w Małym, potem „Hotel pod figlarnym kotkiem” Jerzego Feydeau w Nowościach i „Klub samobójców” jakichś dwóch francuskich autorów z pod ciemnej gwiazdy w Teatrze Gawałecza... a jako intermezzo, najświeższa bluetka liryczno-sardoniczna Schnitzlera „Hrabianka Mizzi”. Oto staczające się na coraz niższy poziom *menu* repertuarowe ostatnich paru tygodni.

Dziewczyną z Powiśla, awansowana przez lalkowatego panicza na metrese, obwożoną w jedwabiach i koronkach po Paryżach i Florencjach, odpadająca do rynsztoka, z którego ją wzięto... Teza *à la* Dumas syn: czy córka ma wyrzec się ojca, aby umożliwić sobie poślubienie ukochanego młodzieńca, teza zaprawiona całym aktem odzyskiwania pamięci przez okaz kliniczny... Pan-

tomina cyrkowa, osnuta na arcyszablone farsy francuskiej, opatentowana „powodzeniem” paryskim, niemająca nic już nawet wspólnego ze sztuką sceniczną... Ekscentryczna przygoda dziennikarza, który podstępem zapisał się do „Klubu samobójców” i—wbrew woli swojej—został uśmiercony, dziwactwo mające rzekomo „szarpać nerwy” zbławowane i przeczulone, dziwactwo zapożyczone z ekstrawagancyi paryskiego Théâtre Guignol...

Ha! Niech p. Przybyłko-Potocka jako Władka z Powiśla najdrastyczniejsze konwencyonalizmy pokazuje na scenie, niech tarza się po florenckim szezlongu z garsonem hotelowym; niech p. Staszkowski *hors ligne* talent swój aktorski zużywa na realistyczne odtwarzanie scen sądowo-szpitalnych; niech tańczy, jak karuzel, ściana z łóżkiem przy niej; niech p. Fertner kłownuje, udając niebywałego jąkałę; niech policzkuje się panie i panowie, niech śmigają wierzgania i boksy; niech p. Mielnicki jako prestidigitator szasta się po scenie sobowtórem, nieprawdopodobnym nawet dla pięcioletniego dziecka; niech p. Weychert, świetny i subtelny artysta, usiłuje wywołać na sali nerwowe dreszcze, udając przerażenie, graniczące z obłędem a w sytuacji dochodzące do naiwności sztucznej; niech wszystko, co możliwe i niemożliwe, dzieje się na scenie, byle publiczność—szła do teatru!

Pod takie oto hasło podają zwolna kark teatry nasze, znarowione wykoszlawiającymi się coraz bardziej upodobaniami publiczności, tracącej pod sobą, zda się, wszelki już grunt krytycyzmu i smaku.

Sam p. Śliwiński, majster nielada w odgadywaniu skąd wiatr wieje, goni ostatkami resursów swoich. A zapas ich ma przecie niemały! Potęgując wciąż w operetce i farsie efekty i pomysły, dotarł do Jerzego Feydeau. Ulubieniec — Paryża! I miałyby publiczność warszawska nie rozkoszować się najwierniejszą kopią tego, na co „leci” publiczność paryska? Atut dopisał p. Śliwińskiemu. Na premierze „Hotel pod figlarnym kotkiem” (tytuł w oryginale: „Une puce à l'oreille”) pełno było w Nowościach, jak na odpuszcie. Klaskano, śmiano się—bawiono. Na widowisko drugie z rzędu rozchwymano wszystkie bilety w godzin k.lka.

Gawałecza samym afiszowym tytułem sztuki „Klub samobójców” ściągnął do Filharmonii więcej publiczności, niż zapowiedzią najznakomitszego utworu. Wiemy, że na tym eksperymencie poprzestanie. I my też, niestety, nie potrzebowaliśmy tej demonstracji poglądownej, aby załamać ręce wobec „ducha czasu”. Duch czasu gna publiczność naszą do bawienia się, do jak najbardziej bezmyślnego bawienia się—za wszelką cenę, za cenę zadowalania się: płaską bufonadą, nieprzebierającą w środkach sensacją i jak najostrzejszą papryką.

Jest to niewątpliwie objaw psychologiczny, którego przyczyny w ścisłym są związku z ogólną konfiguracją obecnych warunków życiowych społeczeństwa naszego. Trzy lata ostatnie zmęczyły społeczeństwo nasze. Zbudziły się z długiej inercyi aspiracje i na-

dzieje i rozmach wzięły w dziedzi, o których nawet marzenia były już porozwiewane. Ogromne zasoby energii wyładowano w czyny bezpłodne i manifestacje bez jutra. Zawody i rozczarowania przewiały, jak burze niszczycielskie, po społeczeństwie naszym. Przyszła reakcja: zniechęcenia i apatii. Z „wielkich spraw” tylko cierpkość i gorycz spłynęły nam w duszę. Smak utraciliśmy do „wielkich spraw”. O mury, ściany i kraty potłuczono zgorączkowane dłonie. Zaczęły rozlegać się coraz gęściejsze wołania: „Nie warto! nie warto!”

Życie zaczęło zwolna tracić swój urok. Znużone oczy zaczęły odwracać się od życia i od—sceny, przypominającej życie. Byłe dalej od wszystkiego, co targa do głębi, co wzrusza, co unosi, co rozrzewnia, co podnieca energię duchową! A ponieważ życie realne dokoła nie zatrzymało się w biegu, aby znużonym dać chwilę zupełnego wytchnienia, ponieważ przeciwnie, rozbujane jego flukta wciąż biją ze wszech stron—przeto nuż garnąć się do jedyne *refugium* zapomnienia i niemyślenia: do sztucznych widowisk, pozostawiających w spokoju duszę, a igrających dla dywersyi ze zmysłami. Nawet dowcip stał się zbyt „ciężką strawą”; przywołano kłowna i kazano mu błaznować.

Czy jest sposób wydobycia publiczności z tego marazmu postanowionej z góry bezmyślności? Byłby... jeśliby teatry nasze mogły spełniać na szeroką i kosztowną skalę misję filantropijną uszlachetniania dusz, cywilizowania obyczajów, kształcenia gustów etc. Tea-

try nasze mogą spełniać tylko pośrednio i do niezna c z n e g o stopnia tę misję pedagogiczną.

Wypadłoby odrzucić wszystkie względy kasowe... A czy to możliwe? Wypadłoby ułożyć repertuar z samych arcydzieł, a dawanych i wystawianych tak, aby—w początkach—tem już samem ścigały publiczność do teatru.



Michalina Łaska.



Marcelli Trapszo.



A gdzie są arcydzieła w bieżącej wytwórczości scenicznej, nie tylko naszej lecz i obcej?

Stef. Krzyżoszewski dowodzi w „Świecie“, że autorowie dramatyczni pobierają u nas tak marne, do śmieszności honoraria, że to już jedno wytrąca im pióro z ręki.

Przypuśćmy, że tak jest. Przypuśćmy, że produkwaliby arcydzieła, *mogąc* poświęcić cały czas swój i trud twórczości dramatycznej. Gdzie jednak u nas ów żelazny kapitał „zachęty do twórczości dramatycznej“, z któregoby czerpano tak złotodajne honoraria?

Nowa Dyrekcja Teatrów rządowych wystąpiła a ogłoszeniem 1500-rublowego konkursu na utwór sceniczny. Bardzo chwalebny postępek! Szkoda tylko, że głos rozstrzygający ma mieć... publiczność, ta właściwie publiczność nasza, która rozstrzyga oto o powodzeniu różnych... „Niebieskich myszek“ i „Hotelu pod figlarnym kotkiem.“

Nowa Dyrekcja angażować zaczęła nowe a najlepsze dziś na horyzoncie siły aktorskie, gotując się oczywiście do mozolnej i rzeczwiście artystycznej kampanii sezonowej. Nowa Dyrekcja każe zamykać drzwi sal teatralnych z chwilą podniesienia kurtyny, aby nałogowo spóźniająca się publiczność warszawska nie brzdącała efektom i nastrojom wystawianej sztuki. Nowa Dyrekcja — mamy nadzieję — uprzątnie lada moment jakim radykalnym środkiem z widowni parteru i amfiteatrów monstrialne dzisiejsze kapelusze damskie...

Zabiegi to wszystko bardzo chwalebne. Wolno jednak mniemać, że zwrot w usposobieniu i upodobaniach publiczności naszej nie nastąpi pierwej, nim nie będą wprowadzone na poważną naszą scenę utwory dramatyczne, choćby nie najświeższej daty, ale wartościowe a w interpretacji wzorowej. Nakład to niewątpliwy, ale — mogący opłacić się. Wśród publiczności zaś samej powinien powstać prąd, zawracający z dotychczasowych dróg. Powinna wśród ludzi dobrej woli a wpływowych w towarzyskich sferach zorganizować się akcja propagująca: popieranie szlachetnych usiłowań poważnej sceny warszawskiej.

Za miesiąc staniemy już w progach *sezonu* teatralnego a rychło potem ściągnie już *tout Varsovie* z różnych wilegiatur do miasta. Trzy wówczas czynniki powinny zabrać się energicznie do dzieła: prasa, Dyrekcja Teatralna, oraz sfery zamożne i kulturalne Warszawy. Zgodnie współdziałanie tych trzech czynników musi zamierzony cel osiągnąć.

Wyrugowanie ze scen naszych błyskotliwej a jałowej tandety, oraz z sal teatralnych degenerującej bezmyślności, sprowadzenie „lekkiej zabawy“ do właściwych granic — oto co może stać się pierwszym a nie małym etapem do podniesienia w ogóle kulturalnego poziomu społeczeństwa w jego ognisku najbardziej świecznikowem i, co za tem idzie, obowiązkiem jak najbardziej do szanowania — siebie.

CZESŁAW JANKOWSKI.

## Stosunek Mickiewicza do Lammenais'ego w epoce towianizmu.

BROSZURA MANFREDA KRIDLA.

„Dziś już nie może ulegać wątpliwości, że towianizm stał się dla Mickiewicza rzeczywistym wyzwoleniem i szarmonizowaniem najistotniejszych cech jego natury“. „Badań starszego pokolenia krytyków, że „literatura“ straciła Mickiewicza z chwilą, gdy przyjął towianizm, rozdzierania szat nad jego utonięciem w mistycyzmie i stratami, jakie naród stąd poniósł — dziś już na serwo brać nie można“.

Zdania powyższe, zawarte w broszurze p. Kridla, mówią dobitnie o zasadniczym przełomie, jaki zaszedł w poglądach na wielkiego poetę polskiego w odradzającym ruchu umysłowym ostatnich lat kilkunastu. „Młoda Polska“ dokonała zupełnej Umwerthung aller Werthe u nas, a raczej uczuciowo i analitycznie napowrót oddała narodowi to, co zniszczył sam w bezrozumnym szale „trzeźwości“. Teraz dopiero *zaczynamy* naprawdę rozumieć Mickiewicza i Słowackiego, widzieć filozoficzne głębie tam, gdzie poprzedni „krytycy“ odczuwali pustkę własnej bezmyślności. Teraz dopiero pojawiła się (już w drugim wydaniu) pierwsza książka o Mickiewiczu, która naprawdę mówi o nim, która syntetyzuje jego ducha: „Monsalwat“ Artura Górskiego. Teraz też dopiero pojawiają się inne prace, które rozświetlają mroki, rozsnute przez „badaczy literatury“ nad romantyzmem: a więc doskonała, bardzo treściwa praca o Towiańskim Andrzeja Baumfelda i nadzwyczaj ciekawe studium (właściwie zaczątek większego dzieła) Manfreda Kridla o stosunku Mickiewicza do Lammenais'go.

Wyjaśnienie stosunku pojęć tych dwóch ludzi tak odrębnych, a pod wieloma względami sobie podobnych, jest rzeczą dla badań nad Mickiewiczem pierwszorzędnej znaczenia, gdyż rozświetla poglądy jego na narodowość, społeczność i indywidualium. Zarazem zaś jest to zagadnienie filozoficzne, świetnie postawione przez autora, który stwierdza zadziwiająco logiczność, konsekwencję i wysoki lot myśli wielkiego wieszczka — myśli, stojących na wyżynie ostatnich dociekań w tych dziedzinach (np. St. Brzozowskiego, pod którego wpływem p. Kridl znajduje się nieraz w swych wywodach).

Autor opowiada przedewszystkiem o wzajemnych oddziaływaniach na siebie Lammenais'go i Mickiewicza.

Mickiewicz poznał dzieła Lammenais'go w drugiej połowie r. 1830 w Rzymie. Wywarły na niego wpływ potężny, którego wyrazem są „Księgi pielgrzymstwa“ i artykuły Pielgrzyma. Z kolei i Lammenais, zapoznawszy się z „Księgami“, pod ich wrażeniem napisał swoje „Paroles d'un croyant“. W następnych zaś latach stosunki osobiste i duchowe urywają się.

I Lammanais i Mickiewicz kroczą odrębnymi drogami, tworzą i wypracowują różny ideał nowego człowieka i nowej kultury — schodzą się zaś na nowo i łączą tylko w stosunku swym do kościoła“.

Nie tu miejsce na roztrząsanie jednego z najważniejszych zagadnień filozoficznych, jakim jest stosunek dwóch teorii, dwóch wierzeń: Mickiewicza i Lamme-

nais'go, z których pierwszy dążył do podniesienia jednostek i głosił kult bohaterów, drugi zaś w masach, w instynkcie ludu widział nieomyślność. Nadmienię tylko ogólnikowo, że stanowisko Mickiewicza było bardziej twórczym, że nie wyłączało bynajmniej istnienia „instynktu mas“, że przeciwnie, bohaterowie Mickiewicza mieli to być ludzie, których przeświadczenie o swoim wielkiem posłannictwie opierać się było winno na tem, że głos ich jest głosem ich ludu: „ja osobistość moją — mówi Mickiewicz w swoich wykładach paryskich — poświęciłem na ofiarę“; (krzyki moje) „wydzierają się z głębi ducha wielkiego ludu. Od samego dna jego wszystkich podań, przebiwszy się przez duch mój, upadną tu między nami, jak strzały dymiące jeszcze krwią i znojem“.

Człowiek Mickiewicza „powinien mieć żarliwość apostołów, poświęcenie się męczenników, prostotę mnichów i śmiałość rewolucjonistów 93-go, męstwo niezachwiane i piorunującą odwagę żołnierzy wielkiej armii francuskiej, a geniusz ich wodza“. „Trzeba być synem swego narodu, potomkiem odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków w rodzinie duchowej i doczesnej; trzeba być dziedzicem wszystkich przymiotów, wszystkich cnót“ i t. d.

Jednym słowem tam, gdzie Lammenais stawiał na pozór bardzo jasno i zdecydowanie „instynkt nasz“ i „konieczność dziejową“, właściwie zaś mglistą ideologię, Mickiewicz kładł ideę znacznie jaśniejszą: *odpowiedzialności* bezwzględnej człowieka za swoje czyny, i *twórczego* jego stanowiska wobec świata. Było to przytem logiczne wobec faktu słusznie podkreślonego przez autora, że przecież, zgodnie z dzisiejszym stanowiskiem filozoficznym, „ustanowienia“ człowieka o świecie są jego własnym dziełem, że Lammenais, działając tylokrotnie wspólnie z mniejszością w narodzie i ludzkości przeciw większości, sprzeciwiał się stanowisku teorii własnych.

Co do stosunku Lammenais'go i Mickiewicza do Kościoła, to obydwaj ci w przyszłość dążący ludzie widzieli w nim „zanik siły i mocy, odwrócenie się od sprawy ludów i wolności, związanie się z gabinetami i despotyzmem“.

Rzadko o książkę tak bogatą w myśl, jak dziełko p. Manfreda Kridla. J. KL.

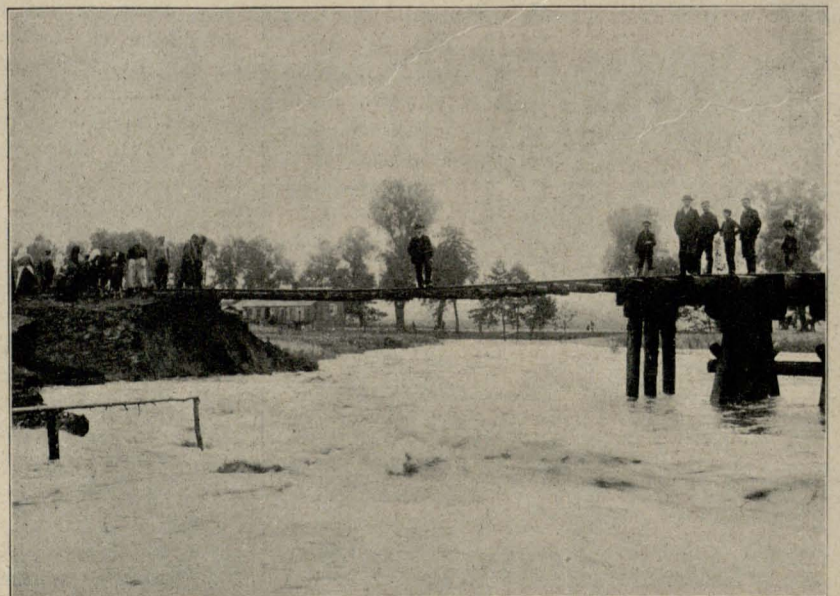
## Powódzie.

Nie wiem, czy znajdzie się dyplomata, któryby rozwikłał tę niezmiernie drażliwą sprawę, jaka wiąże się u nas z dorocznymi kłęskami powodzi. Od wielu lat jednym z „zasadniczych“ punktów programu politycznego „Koła Polskiego“ w Galicyi jest ujęcie w karby rzek galicyjskich. Kiedyś mówiono nawet o porozumiewaniu się rządów w celu uregulowania Wisły — od źródeł aż do morza...

Co pozostało i kiedy i gdzie z tych projektów? Kto o nie się troszczył? Kto dbał o bezpieczeństwo polskiej ludności nadbrzeżnej i jej urodzajów, o możliwość prawidłowej żeglugi na tej wspaniałej arterii komunikacyjnej?



Stacya kolejki Wawerskiej „Most“, zalana wodą.



Rozerwanie grobli na odnodze kolejowej Ostrowiec-Bodzechów.

Nie stawialibyśmy takich pytań w państwach niekonstytucyjnych, nie kładziemy nacisku na to w takich, których konstytucja jest nowością. Ale w Galicyi? Czemuz Koło Polskie śpi w tej sprawie, tak popularnej, tak palącej? Rok rocznie słyszemy tylko w tej kwestyi — obietnice. Czyż nie czas wyjść poza słowa, jąc się energiczniej akcyi?

Niepodobna wyliczać wszystkich klęsk, jakie spadły na nasz kraj w szeregu lat. Ale w tym roku też nie były jakie powodzie srożyły się bezkarnie nad bezsilną ludnością, która wzdycha tylko pobożnie i dziękuje Bogu, że nie było gorzej, chociaż być gorzej mogło. „Akcyja” ogranicza się zwykle do obserwacji i przepowiedni, „czy też woda wiele zabierze stert, stogów, chałup, czy wiele utonie ludzi i bydła”. Piękna, silna akcyja — ani słowa!

„Na szczęście” pod Warszawą powódź nie była tak silną. Zalała jednak wiele wybrzeży w czasie sprzętu zbóż. w Warszawie zaś zamoczyła stacyę kolejki Wawerskiej, jak to widać na załączonej rycinie, i napłatała wiele mniejszych figlów.

**Rozwiązanie Komitetu jubileuszu Juliusza Słowackiego.**

Krótką była nadzieja uczczenia wielkiego poety. Historia usiłowań w tym kierunku przedstawia się jak następuje: Na posiedzeniu, odbytem w Warszawie d. 23 lutego r. b., wybrano 42 osoby, które miały zawiązać się w Komitet dla obmyślenia i zorganizowania obchodu setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego w roku przyszłym. Proponowany komitet nie uzyskał legalizacji władz. Wyjaśniono to w odpowiedzi z d. 12 kwietnia r. b. na podanie, jakie w imieniu wybranych wniósł w tej sprawie, pod nieobecność warszawskiego generał-gubernatora, Adam hr. Krasieński. Po powrocie głównego naczelnika kraju do Warszawy, Adam hr. Krasieński ponowił osobiste zabiegi o legalizacyę. W dniu 7 czerwca r. b. warszawski generał-gubernator zawiadomił go, że przedstawił rzecz do decyzji ministra spraw wewnętrznych, otrzymał jednak odpowiedź odmowną.

**NASZE RYCINY.**

Numer niniejszy, w całości poświęcony Turcyi, zawiera też trzy obrazy znanych, pierwszorzędnych malarzy z nad Bosforu. Z tej racyi warto przypomnieć, że sztuki piękne nie były nigdy w państwie sultanów lekceważone, lecz przeciwnie, otaczano je czcią i opieką. Już Mahomet II, zdobywca Konstantynopola, gościł na dworze swoim mistrzów takich, jak Bellini oraz Matteo de Parti de Verona. Później widziano na dworze sultaniskim innych artystów włoskich i francuskich, a i nasz rodak, Chlebowski, cieszył się względami Abdul Azisa. Rozkwit nowożytny sztuki tureckiej datuje od założenia Szkoły Sztuk Pięknych przez *Hamdi-Beja*, artystę malarza, którego piękny obraz „*Czarownik złotwi*” podajemy na czele numeru.—*Adil-Bey*, którego obraz „*Prząśniczka*” ozdabia również numer niniejszy, jest już uczniem Szkoły Sztuk Pięknych, założonej przez Hamdi-Beja, i mimo wpływów europejskich, szczególnie zaś włoskich, posiada oryginalność kolorytu i układu, przy dokładności rysunku. — *Achmed-Zia-Bey*, również uczeń stambulskiej Szkoły Sztuk Pięknych, jest mistrzem subtelnego wykończenia, o czem dobitnie świadczy jego obraz „*Ulica Szach-Zade*” w Konstantynopolu. Oprócz trzech powyżej wymienionych jest jeszcze cała plejada artystów, którzy jak Hamdi-Bey i Adil-Bey mają swoją sławę nie tylko w Turcyi, lecz także i wśród znawców europejskich.



George Nicolas Ifft, nowo-mianowany konsul St. Zjedn. Ameryki półn. w Warszawie.

*Maurycy Gutentag*, członek straży ochotniczej od początku jej istnienia, długoletni komendant I-go oddziału, za obronę języka polskiego w tej instytucyi został usunięty z zajmowanego stanowiska przez klikę hakatystów z prezesem straży, p. Leonhardtem, naczele. Fakt ten stał się powszechnie znany i wywołał oburzenie, które jest tem słuszniejsze, że p. Gutentag całą duszą był oddany ukochanej przez siebie straży i niejednokrotnie dawał tego dowody.

Dosyć powiedzieć, że w ciągu 32 lat swej służby p. Gutentag uległ złamaniu żebra, nogi, oraz okaleczeniu ręki toporem; podczas pożaru w fabryce Prusinowskiego przed kilkunastu laty, p. Gutentag wraz



Maurycy Gutentag.

z komendantem ś. p. Wergau'em, został ogarnięty przez płomienie i tylko cudem zdołał się wyratować. Nie mniejszą ofiarę na rzecz straży składał p. Gutentag ze swego mienia.

Zajście z p. Gutentagiem wywołało polemikę w prasie łódzkiej. Rzecz zrozumiała, że gazety niemieckie wystąpiły w obronę hakatystów, rządzących w straży, lecz powszechne zdziwienie budzi stanowisko jednego z pism polskich (?), które dotychczas nie zabrało w tej sprawie głosu, dając tem niejako dowód, że solidaryzuje się z działalnością pp. Leonhardt et C-om.

**Zmarli.**

*Jan Witwicki*, inżynier i właściciel fabryki „Kamienna”, człowiek, cieszący się niezwykłym szacunkiem ogółu, czyli wszystkich obywateli kraju, jacy go znali — zarówno sfer posiadających, jako też robotników.

Poezyą jego życia było ukochanie ojczyzny, rodziny i robotników „drogiej mu Kamienny”. Pod jego opieką powstała w fabryce wzorowa szkoła, pomoc lekarska, straż ogniowa, orkiestra, chór śpiewaczy (obecnie zamilkły) — a co jest najbardziej



Jan Witwicki.

charakterystycznym — nigdy w fabryce jego nie było strejków. W domu państwa Witwickich nie odbyła się ani jedna uroczystość rodzinna bez udziału robotników. Ś. p. Jan Witwicki urodził się w r. 1844, w Daleszowie, w Opoczyńskim. Ojciec ś. p. Jana był oficerem wojsk polskich 9-go pułku ułanów, stryjem — Stefan Witwicki, poeta, obydwa wychowawcy Liceum Krzemieckiego. Śmierć tego szlachetnego człowieka bez skazy pogrzyżała w żalobę całe Radomskie.

Ryciny tureckie w niniejszym numerze *Tygodnika* zawdzięczamy uprzejmości p. d-ra J. Fruzińskiego z Konstantynopola.

**N A D E S Ł A N E.**

**PASKI DAMSKIE, TOREBKI RĘCZNE, PRZYBORY TOALETOWE, PERFUMERYE, MYDŁA,** poleca po stałych niskich cenach.

**STEFAN POREBSKI**  
Kraków, Rynek 32, linia C-D

**C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN I KAMIENI MŁYNSKICH BUDOWA MŁYNÓW**  
WARSZAWA - PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYNSKIE. OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i. t. p.

FORTEPIANY,  
PIANINA, PIANOLE,  
ORGANY,  
MELODYKONY

**GEBETHNER i WOLFF**  
Warszawa, Krak.-Przed. 17

**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**  
W WARSZAWIE,  
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9  
pośredniczą  
w prenumeracie pism  
krajowych i zagranicznych  
po cenach redakcyjnych.

**ODPOWIEDZI.**

*Panom C. H. J.* Prosimy Panów nie ferować wyroków lekkomyślnych. Czasy, które obecnie przeżywamy, w gruncie rzeczy nie wiele się różnią od „najcięższego teroru cenzuralnego”, a redaktorzy pism warszawskich, jak Panowie zauważyć możecie, nie mogą nie uwzględnić warunków zewnętrznych.

*Panu G. M.* Istotnie, Sz. Panie, wskutek zmiany czcionek większych na drobniejsze w pewnych działach „Tygodnika”, objętość naszego pisma znakomicie się w ostatnich czasach powiększyła, a czytelnicy z uznaniem przyjęli tę zmianę.

*P. St. Poll. w Zak. „Wśród walki”* nie stoi na wysokości naszego pisma — drukować nie będziemy.

*Aug. Sfinks w Żmierzynie, J. J. Kozł.* Wiersze Panów nie ukażą się w druku.

*Henryk P.* Nie do druku.  
*A. b. c. Z. Letva, Maryja Janina, St. J. Kozłowski.* Nie zamieścimy.

## Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Chłodna Nr 18, Niecała Nr 9, Dzika Nr 7, Leszno Nr 4,  
Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2 a, Praga Brukowa Nr 32, Długa Nr 19.  
Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.

### KIERUNEK PRAKTYCZNY.

Pod zawiadywaniem Ministerium Handlu i Przemysłu

## KURSA HANDLOWE S. Rogulskiego w Warszawie.

- I. Przygotowawcze.
- II. Specjalne roczne żeńskie.
- III. Specjalne półroczne męskie i żeńskie.
- IV. Dla buchalterów.

Programy bezpłatnie w kancelaryi Kursów Marszałkowska nr. 136, oraz w księgarniach: M. Arcta Nowy-Świat 53 i G. Centnerszvera i S-ki Marszałkowska 143.

### PIERWSZORZĘDNE SIŁY WYKŁADOWE.

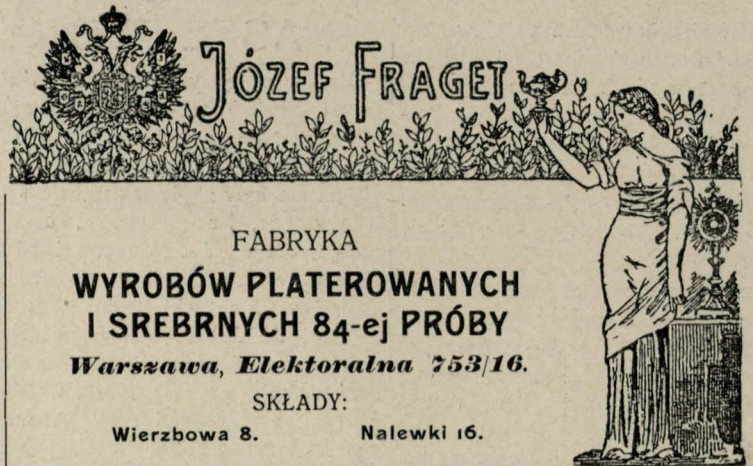
Nagrodzone złotymi medalami, a zalecane przez pp. doktorów i lekarzy-  
dentystów: eliksir, pasta i proszek

## „TYMENTOL“

jako najlepsze środki do czyszczenia i konserwowania zębów, oraz odświeżania jamy ustnej. Poleca Centralne Laboratorium Chemiczne w Warszawie.  
Sprzedaż w składach aptecznych.

## HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT  
Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.



**JÓZEF FRAGET**

FABRYKA  
WYROBÓW PLATEROWANYCH  
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY  
Warszawa, Elekoralna 753/16.

SKŁADY:  
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

**LUDWIK SZUFA  
KRAWIEC**  
KRAKOW TELEFON 671

**Denaturowany spirytus.**  
Spirytus stały w puszkach,  
spirytusowe lampy, palniki,  
kuchenki, żelazka i t. p.  
**B. CIA WIŚNIEWSKI i S-ka**  
Foksal 18, Telefon 3039.

Lecznica D-ra Tarnawskiego  
w Kosowie (St. kolei Zabłotów) w Galicyi  
w połud-wschodnich Karpatach, otwarta od 1 maja  
do końca października. Leczenie wodą, dietą (tak-  
że jarska i owocowa), kąpielami słonecz., gimnasty-  
ką i przyspasabianie do życia higienicznego.

NAJLEPSZA KAWA  
SKONCENTROWANA  
**EXTRAIT de MOCCA**  
Eugeniusz Widigier i S-ka  
WARSZAWA,  
Al. Jerozolimska 25, tel. 35 33.

**J. MIECZKOWSKI, Fotografia**  
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

## LECZNICA DLA DZIECI

D-ra Juliana Gawrońskiego  
Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),  
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11  
rano. Porada 50 kop.

**MARIENBAD** „Haus Hamburg“  
dr. St. Benedykt  
Kwiatkowski, b. I Asystent kliniki chorób  
wewnętrznych Uniwersytetu Jagiellońskiego,  
ordyn. od 1 maja do 1 października.

Nowe maszyny  
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI

## „APOLLO“

nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieod-  
zowne w każdym gospodarstwie.

## PASY SKÓRZANE

oryginalne angielskie w najlepszych  
gatunkach, poleca

## ALFRED GRODZKI

Warszawa, 33, Senatorska.

NARZĘDZIA LEKARSKIE,  
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,  
WYROBY NOŻOWNICZE

## Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.  
Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

## DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“ w ROKU 1908.

### NOWA SERJA.

### 12 TOMÓW DZIEŁ HISTORYCZNYCH, LITERACKICH I NAUKOWYCH

W cenie niższej rb. 6, zamiast rb. 23 kop. 90.

|  |      |
|--|------|
| <b>Chmielowski P.</b> Józef Ignacy Kraszewski. Za-<br>rys biograficzno-literacki   | 3.—  |
| <b>Desmolins E.</b> Szlaki dziejowe a typy społeczne.<br>Szlaki starożytne. Przyczynek do geografii spo-<br>łecznej. Spolszczył Ludwik Krzywicki | 1.50 |
| <b>Kochanowski J. K.</b> Szkice i drobiazgi histo-<br>ryczne   | 2.—  |
| <b>Papée F.</b> Studya i szkice z czasów Kazimierza<br>Jagiellończyka  | 2.40 |
| <b>Raleigh T.</b> Zasady elementarne polityki, z an-<br>gielskiego tłómaczył Dr. J. Polak  | —.60 |
| <b>Smoleński Wł.</b> Ostatni rok Sejmu Wielkiego<br>(dalszy ciąg dzieła ks. Kalinki p. t. Sejm czte-<br>roletni). Wyd. 2-gie                     | 3.40 |

|   |      |
|---|------|
| <b>Sobieski W. Dr.</b> Szkice historyczne   | 1.50 |
| <b>Sprawy szkolne i wychowawcze.</b> Odczyty,<br>wygłoszone w wydziale wychowawczym Tow.<br>higienicznego. Serya I        | 1.—  |
| <b>Tokarz W.</b> Ostatnie lata Hugona Kołłątaja,<br>1794—1812. Praca, odznaczona nagrodą im. J.<br>U. Niemcewicza. 2 tomy | 4.50 |
| <b>Weysenhoff J. generał.</b> Pamiętnik 1789—<br>1831. Z portretem autora, wydał Józef Weys-<br>senhoff                   | 2.—  |
| <b>Zdziechowski M.</b> Szkice literackie I.   | 2.—  |

### 12 POWIEŚCI

W cenie niższej rb. 5, zamiast rb. 15 kop. 30.

|  |      |
|--|------|
| <b>Gawalewicz M.</b> Mgła. Powieść   | 1.20 |
| <b>Gliński K.</b> W Babinie. Powieść z pierwszych<br>lat Rzeczypospolitej Babińskiej. 2 tomy | 2.50 |

|  |      |
|--|------|
| <b>Gruszecki A.</b> Słomiany ogień. Powieść współ-<br>czesna   | 1.50 |
| <b>Jablczyński F.</b> Romans.—Około śmierci.—Przy<br>robotach.—Szum drzew.—Eustachiusz.—Panna<br>Anna i inne obserwacje życia.—Uczciwy czło-<br>wiek.—Don Marco Bullon.—Pantofle | 1.50 |
| <b>Jeske-Choiński T.</b> O mitrę gospodarską. Po-<br>wieść historyczna z XVI stulecia  | 1.50 |
| <b>Kosiakiewicz W.</b> Plama (Z pamiętników wynal-<br>zcy)   | 1.—  |
| <b>Mutermilch M.</b> Żydzi. Powieść  | 1.50 |
| <b>Orkan Wł.</b> Nowele. Z przedmową Kazimierza<br>Tetmajera   | 1.—  |
| <b>Prévost M.</b> Listy do Frani. Przekład Maryi Ro-<br>dysowej, z 59 wydania oryginału  | 1.20 |
| <b>Rojan K.</b> Lepsze czasy. Powieść  | 1.20 |
| <b>Świdorska A.</b> Obok szczęścia. Powieść współ-<br>czesna   | 1.20 |

**Bracia ŁOPIEŃSCY** polecają **BRONZY** Magazyn **Krakowskie Przedmieście** **Nr 15** dom Hrabiego **J. Potockiego**

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF. Współredaktor literacki Artur Oppman (Or-Ot). Kierownik artyst. Józef Holewiński. Sekr. red. Stefan Gorski. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2. — Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa